

**M. P. RAWINIS**

# **KRZYŻOWCY**

Saga rodu z Lipowej 17

## Złodziejaszek

Złodziejaszka przyłapano na jarmarku w Holsztynie, po tym jak odciął sakiewkę jednemu z cudzoziemskich kupców. Próbował uciekać, ale strażnicy schwytali go łatwo, bo w miejscu, gdzie gromadziły się tłumy i nigdy nie brakowało obwiesiów gotowych wzbogacić się na cudzej krzywdzie, nie brakowało też miejskich pachołków. Nieznajomego, dość nędznie ubranego podrostka, przyprowadzono przed oblicze starosty i rzucono na ziemię. Darł się wniebogłosey i domagał sprawiedliwości.

- Zostawcie mnie! - szarpał się. - Nie macie prawa mnie zatrzymać, podlegam tylko kościelnej jurysdykcji. Nosił strój podobny do habitu, a na głowie miał skórzaną czapkę, ciasno przylegającą do głowy.

- Władza świecka nic do mnie nie ma! - upierał się. - Nie ruszajcie mnie, jeśli nie chcecie narazić się na klątwę samego pana biskupa!

Jeno z Krasawy dał znak, żeby strażnicy uciszyli więźnia i kiedy dali mu parę kuksańców, zamilkł. Jeden z żołnierzy dokładnie obmacał ubranie chłopaka i znalazł w zanadrzu wyszywaną sakiewkę ze skóry.

- To twoje? - zapytał pan Jeno.

- A pewnie! Mówiłem, poniechajcie mnie!

- Co jest w środku?

- No, wiadomo - odpowiedział tamten zuchowato.

- Skoro twoje, to wiesz, ile i w jakim pieniądzu. Chłopak zawahał się, a pan Jeno nabrał pewności, że ma przed sobą jarmarcznego złodzieja. Kazał zdjąć czapkę z głowy leżącego i wszyscy mogli zobaczyć, że ten nie ma lewego ucha. Był to najwyraźniej ktoś, kogo już wcześniej przyłapano na kradzieży. Starosta skinął ku swoim.

- Na razie zamknijcie go w jamie - polecił. - Porozmawiam z nim później. Po drodze dajcie mu ze dwadzieścia różeg, żeby się nie stawiał i był bardziej rozmowny.

- Litości! - wrzasnął chłopak.

- Zamknijcie - powtórzył Jeno. - I przygotujcie narzędzia, które będą mi potrzebne do badań. Muszę się dowiedzieć, gdzie ukrywa się zbój Jaksa, a ten tu złodziejaszek do niego zaprowadzi.

Chłopak wyrwał się strażnikom i przypadł do nóg starosty:

- Litości, panie! - wołał. - Tylko nie żelazem! Wszystko por wiem, do wszystkiego się przyznam! Tylko nie żelazem!

- Nie jesteś mnichem? - Nie.

- Ani scholarem, który podpada pod kościelne prawo? - Nie.

- Zatem kim?

- Jestem Nikosz, syn bednarza Krzyżana.

- Kradłeś? I za to obcięto ci ucho?

- Tak, panie. Ale to pomyłka. Bo ja tylko pomagałem innym. Tylko pomagałem! Pan Jenó zmarszczył brwi.

- Komu pomagałeś?

Chłopak zawahał się. Widać było, że się boi.

- No! - ponaglił starosta.

- Jaksie - wydukał chłopak.

Zamilkli. W ostatnich miesiącach zdarzyło się kilka szkaradnych zbrodni w okolicy. Obwiniano o nie Jaksę, groźnego rozbójnika, którego większość ludzi starosta już był pojmał i ukarał. Z całej, licznej niegdyś zbójckiej gromady, uratował się tylko jej herszt.

- Zmiłujcie się - błagał chłopak. - Ja tylko pomagałem. Pan Jenó podszedł i pochylił się nad leżącym.

- Nikosz, tak? - zapytał groźnie. - Pomagałeś tylko? I za to też jest kara. Chyba, że pomożesz schwytać tamtego.

- Pomogę, panie! - zapewnił szybko wyrostek. - Pomogę.

- Gdzie on się ukrywa?

- Niedaleko, panie. Ma kryjówkę koło Mstowa. Zaprowadzę. Pan Jenó podniósł brwi.

- Koło Mstowa? Byłeś tam? I może to ty zbójowałeś w zeszłym tygodniu koło Miłosnej Skwały?

- Nie ja, panie! - krzyczał Nikosz. - To Jakska.

- Jakska zabił? Wiesz to?

- Tak, panie.

- Dla rabunku? - Tak.

- Niewiastę? - Tak.

- I jej dzieci?

- Tak.

Pan Jenó skinął, żeby zabrano więźnia.

- Tylko pilnować bacznie - polecił. - Nie może ujść królewskiej sprawiedliwości tak szkaradna zbrodnia.

## Elżbietka

*Lato 1396*

Tego lata jedyna córka pana Jeny z Krasawy i pani Aleny skończyła dwanaście lat i osiągnęła pełnoletność. Elżbietka wyrosła na piękną pannę, a że była też niegłupia i posażna, chętnych do jej ręki nie brakowało. Z wyglądu bardzo przypominała matkę. Podobnie jak pani Alena była jasnowłosa, wysoka i wyprostowana, dumnie nosiła głowę, będąc jednak w obejściu miłą, uśmiechniętą, wcale niesurową i niedostępną, jak to mogło wyglądać na pierwszy rzut oka.

Lubiła się stroić, kochała klejnoty, suknie i błyskotki. Dobrze jeździła konno, ale jej matka, choć sama w młodości przepadała za uganianiem się po wzgórzach, córce wzbraniała tej rozrywki, uważając, że nie przystoi ona młodej pannie, poważnej już i gotowej do zameścia.

Pan Jeny upatrywał dla córki kandydata na męża wśród bogatych synów swoich licznych przyjaciół i od dłuższego już czasu czynił starania, żeby przystała na jego rady. Elżbietka z uwagą wysłuchiwała ojca, zachwalającego zalety pewnego młodego człowieka, ale gdy zapytał, co o tym sądzi, unikała jego wzroku.

- Sama nie wiem, ojciec - odpowiedziała wykrętnie. - Jakoś jeszcze nie myślałam o małżeństwie. Mam przecież dopiero dwanaście lat...

- Nie każę ci iść za mąż już teraz. Ale może warto wybrać kogoś dla siebie. Mam przecież swoje lata, a chciałbym jeszcze zatańczyć na twoim weselu.

- Co też mówicie! - oburzyła się Elżbietka. - Jesteście w pełni sił i nawet żartować tak nie powinniście.

Jeny z Krasawy miał dobrze ponad pięćdziesiąt lat, ale trzymał się prosto, był nadal nadzwyczaj silny i nie dokuczały mu żadne choroby. Wielu mężczyzn w jego wieku uważało się już za starców, lecz nie on, który stale był w ruchu i w domu rzadko zagrzewał miejsce.

- Nikt nie może być pewny swojej godziny - westchnął teraz.

Konrad ze Szczekocin herbu Odrowąż, wydawał się bardzo dobrą partią. Był pięknym, ciemnowłosym młodzieńcem, do którego wzdychało wiele panien w całym kraju. Zgrabnej postury, ładnie się uśmiechał, a w jego czarnych oczach czaiło się coś, co wprost zniewalało niewiasty. Wyr starczyło, że spojrzął, że powiedział słów parę swoim głębokim niskim głosem, a omdlewały prawie w nadziei, że to właśnie do nich przemówi jego serce. Konrad ujrzał Elżbietkę w kościele świętego Marcina i zakochał się od pierwszego wejrzenia w jej

jasnych, roześmianych oczach. Przez całe nabożeństwo popatrywał na lewą stronę świątyni, gdzie stała pośród innych niewiast, i zapominał przyklęknąć kiedy trzeba, a to zachowanie zostało oczywiście natychmiast zauważone. Elżbietka wróciła z matką do domu, w ogóle nie wiedząc, co działo się w jego duszy, bo ona sama nie poczuła nic na widok młodego rycerza. Konrad był piękny, dostojny i wspaniały, to prawda, ale serce Elżbietki nie odpowiedziało na jego wezwanie.

- Młodego Konrada jakby piorun trafił - zauważyła pani Alena. - Całą mszę nie odrywał oczu od naszej córki.

Pan Jenó był zadowolony, bo w planach wydania córki brał pod uwagę i jego osobę. Młodszy syn Jana ze Szczekocin był bogatym rycerzem, należącym do najbliższego otoczenia króla i posiadał wielkie włości. Konrad miał wszystkie zalety swojego rodu - bogactwo, dobrą sławę i przyszłość. Mógłby szukać żony w lepszych sferach, ale upodobał sobie Elżbietkę z Lipowej i jeszcze tego samego dnia postanowił, że ożeni się tylko z nią - albo z nikim innym. Elżbietka nic o tym nie wiedziała.

- Niczego nie zauważyłam - przyznała się matce. - Powiadacie, że mi się przyglądał?

- Cały czas - uśmiechała się pani Alena. - To wielki pan, inne panny mogą tylko marzyć o tym, co zdarzyło się tobie, moje dziecko.

Elżbietce nawet się podobało zainteresowanie Konrada, szczególnie po tym, jak dowiedziała się, że zazdrozczono jej powszechnie, ale ona sama niczego sobie po takim zachowaniu nie obiecywała. Jakby zupełnie nie zależało jej na paniczu ze Szczekocin.

- Mam jeszcze czas - mówiła wykrętnie. - Chyba nie muszę poślubić pierwszego, który miałby ochotę żenić się ze mną.

- Ten nie jest pierwszy lepszy - zauważyła pani Alena. - To syn Jana ze Szczekocin, wielki pan i rycerz. Pogratulować takiego kandydata, wszyscy ci zazdrozczą już teraz, moja córko.

Pani Alena wydawała się mocno przywiązana do myśli, że wyda Elżbietkę za Konrada i z chęcią rozmawiała o tym ze wszystkimi. A wszyscy mówili o takich zamiarach dobrze, z radością lub zazdrością. Szczególnie po kilku dniach, kiedy pan Konrad pojawił się w Krasawie, potwierdzając swoje zainteresowanie.

Przyjechał w towarzystwie giermka i służby, dostojny, pięknie ubrany. Na dziedzińcu zapytał o pana Jenó, któremu miał jakoby przekazać ważne wieści. Starosta był akurat nieobecny i to pani Alena wyszła na powitanie gościa. Konrad kłaniał się nisko, niezręcznie przeproszał, że przyjeżdża niezapowiedziany i odetchnął z wyraźną ulgą, gdy pani Alena powitała go serdecznie i zaprosiła do domu.

- Jesteśmy wam wielce radzi, panie Konradzie - zapewniała z uśmiechem. - Mój mąż lada chwila powinien wrócić, tedy zechćcie na niego poczekać, bo to długo pewnie nie potrwa. Macie dla niego jakieś wieści?

- Wieści? Nie mam. To jest, mam, oczywiście - niewyraźnie tłumaczył się Konrad.

Nikomui nie powiedział o swoich zamiarach, sam chciał wybadać grunt. Pani Alena od razu się tego domyśliła, a jej ocena młodego człowieka tym bardziej wzrosła. Mógłby przecież Konrad prosić dziewczęta i długo chodzić ogródkami, ale postanowił, jak uważała, działać prosto i szybko. Pani Alena ceniła szczerść i umiała docenić odwagę. To zaś stanowiło dla niej dowód, że pan Konrad jest poważnie zakochany w Elżbietce. Konkurent zrobił więc na pani Alenie bardzo dobre wrażenie. Był też szczerzy.

- Mój ojciec... - przyznał się niepewnie - Mój ojciec jest bardzo porywczy. Chyba nie byłby zadowolony, że zrobiłem coś bez porozumienia z nim. Więc was proszę, pani, byście byli dla mnie wyrozumiali. Przyjechałem po prawdzie wcale nie z wieściami dla waszego męża...

Pani Alena dobrze wiedziała, po co przyjechał i dobrze rozumiała, jak trudna to dla niego sytuacja, zgodziła się zatem mu pomóc.

- Wiem - odpowiedziała. - To znaczy domyślam się, co was tu sprowadza, panie Konradzie. Nie mam wam tego za złe, ale poważnie nie myśleliśmy jeszcze o wydaniu za mąż naszej córki... Konrad zaczerwienił się, że tak szybko przejrzano jego zamiary. Rozkładał ręce szerokimi, bezradnymi gestami.

- Mój ojciec... - powtarzał. - Mój ojciec... Pani Alena uśmiechnęła się uprzejmie.

- Jestem rada z waszej wizyty - zapewniła. - Ale naprawdę nie wiem, co mam wam odpowiedzieć. Mój mąż jest nieobecny, chyba będzie lepiej, byście odjechali przed jego powrotem, Kiedy pan Jenó wróci, powiem mu o waszej wizycie i zapytam o zdanie...

- No - odważył się wydukać Konrad. - Nie jestem byle kim i dlatego, i dlatego postanowiłem przyjechać i porozmawiać, choć nic nie wspomniałem nawet mojemu ojcu... Pani Alenie nie bardzo spodobało się to odezwanie.

- My też nie jesteśmy byle kim - przypomniała z naciskiem. - Nie wydaje mi się słuszne, żebyście chwalili się swoją pozycją, zwłaszcza mnie, która mogłabym być waszą matką.

Pan Konrad zerwał się ze swojego miejsca i rzucił do rąk pani Aleny z przeprosinami.

Był tak przejęty, że nie mogła mu nie wybaczyć. Tylko miłość, prawdziwa miłość może tak oszołomić człowieka. Później jednak, gdy o wizycie Konrada rozmawiała z mężem, była wobec jego zamiarów bardziej powściągliwa.

- Niby tu przyjechał sam, ale stale mówił o ojcu, na którego wolę się ogląda. Nie wiem, czy to jest dobry kandydat dla Elżbietki.

Pan Jenó był podobnego zdania. Wprawdzie odniósł się do propozycji Konrada ze zrozumieniem i nawet pewnego rodzaju przychylnością, ale nie chciał z nim mówić, póki ten nie powiadomi ojca o swoich zamiarach. Taką odpowiedź kazał dać, gdyby Konrad zjawił się ponownie.

- Na zaręczyny jeszcze za wcześnie - postanowił. - Ale jeśli Konrad chce widywać Elżbietkę, nie będę mu bronił. Zobaczymy, jak jest wytrwały w swoich uczuciach i czy to nie tylko młodzieńcze zauroczenie.

Sama zainteresowana odnosiła się do sprawy jeszcze bardziej powściągliwie.

- Jeszcze mi czas za mąż, mój ojciec - odpowiadała Elżbietka łagodnie. - Obiecaliście, że nie będziecie przymuszać.

- Ani mi to w głowie - zapewnił pan Jenó. - Proszę cię tylko, żebyś rozważyła jego propozycję. Na pewno nie będzie to jedyna, jaką otrzymasz, i trzeba, żebyś nauczyła się, jak w takich sprawach postępować.

Najbliższa przyszłość potwierdziła wytrwałość Konrada. Zaczął bywać w Lipowej, starając się zaskarbić łaski rodziców Elżbietki, szczególną uwagę przykładając do zdania pani Aleny, którą traktował z wielkim szacunkiem, u niej szukając poparcia dla swoich zamiarów.

Elżbietka witała pana Konrada bez przesadnej radości, ale też bez niechęci. Ten przyjeżdżał przejęty, przywoził upominki, ale wydawało się, że odwiedziny w Lipowej stanowią dla niego trudne chwile. Siedział w świetlicy mocno zmieszany, rzadko się odzywał, a już niepytany nigdy i tylko oczami wodził za dziewczyną.

Elżbietka sama niewiele się tymi wizytami przejmowała.

- Mam jeszcze czas - powtarzała ze śmiechem. - Dobrze mi w rodzinnym domu i nie ma powodu, żebym spieszyła się gdzie indziej.

Pani Alena łagodnie przekonywała córkę, że nie mogła lepiej trafić.

- Trzeba, żebyś poważnie pomyślała o swojej przyszłości - powiedziała któregoś dnia. - Oboje z twoim ojcem mamy swoje lata. Żeby rozporządzić wszystkim należycie, trzeba wiele czasu i wiele przygotowań.

Lękała się o przyszłość córki i martwiła bardzo, że Elżbietka jest taka jeszcze dziecinna, że zupełnie o tych sprawach nie myśli.

- Zastanów się - powtarzała. - Można to pan, młody i piękny. Może trochę nieśmiały, ale tym łatwiej będzie ci nim kierować...

Elżbietka wydymała wargi.

- Kiedy nic do niego nie czuję, matko - odpowiadała spokojnie. - Mówiliście sama, że uczucie jest ważne w małżeństwie, a ja nic nie czuję. Nawet mnie to martwi. Czekam już długo i nic się nie dzieje.

- Uczucie przyjdzie później - zapewniła pani Alena. - Później, moje dziecko. Kiedy należycie zadamy o twoje wygody, dostatni i bogaty dom, ziemię, służbę, będziesz wtedy miała czas na uczucie.

Pani Alena nie pamiętała już, że gdy ona była młoda, za nic miała uwagi ojca i jego przestrogi. Zapomniała, że sama bez pamięci rozmiłowała się w kowalskim synu, biednym i prawie bez przyszłości.

Kilka tygodni później przyjechali do Krasawy dziewosłubowie, żeby w imieniu starosty lubelskiego rozeznaczyć się w sytuacji i prosić o rękę Elżbietki dla młodszego syna możnego Jana ze Szczekocin. Zabawili niedługo, ale wyjechali zadowoleni. Pan Jenko nie dał wprawdzie wyraźnej odpowiedzi, ale też i wyraźnie nie odmówił. Zezwolił też, by pan Konrad odwiedzał Krasawę ilekroć tylko zechce.

- Elżbietka chyba jeszcze niegotowa na tak ważny krok w życiu - orzekł. - Więc jeszcze nie czas mówić o zrękowinach. Ale niedługo pewnie pomówimy. Może powróci już z wyprawy krzyżowej brat Elżbietki. Bo i Mikołaja trzeba będzie zapytać o zdanie.



## Wyprawa

*Lato 1396*

Od stołecznego Krakowa aż do węgierskiej Budy, gdzie w czerwcu naznaczono zgromadzenie wojsk krzyżowych, Mikołaj z Lipowej jechał w wielkim zadowoleniu, z nadzieją i oczekiwaniem w serca Ale na dworze króla Zygmunta szybko pozbył się złudzeń i postanowił, że powinien pozostawać na uboczu. Bo na dworze króla Zygmunta nie kończyły się uczyty, wystawne przyjęcia, przechwałki i nieustające kłótnie pomiędzy dowódcami. Plany kampanii, powstające w głowach marszałków i hrabiów, były bardzo ogólne i niedokładne.

- Najpierw na odsiecz Konstantynopolowi, potem do Ziemi Świętej i Jerozolimy, żeby oswobodzić Grób Chrystusa.

Za dwa lata, kiedy braknie już Saracenów, bo padną wszyscy od naszego żelaza, powrócimy w chwale do domu.

Dowódcy byli zadowoleni, ich zdaniem wszystko przebiegało zgodnie z planem. Armia zachodnia wyruszyła ostatniego dnia kwietnia z Dijon i przez Strasburg oraz Bawarię dotarła nad Dunaj, skąd popłynęła statkami do Budy na spotkanie z oddziałami króla Zygmunta, a potem do Wiednia.

Zbierali się powoli, dopiero w lipcu zgromadzili się wszyscy książęta i hrabiowie ze swoimi oddziałami i wreszcie można było powołać radę wojenną. A było nad czym radzić, bo choćby nad tym, kto ma dowodzić tak ogromnymi siłami, obliczanymi na czterdzieści i więcej tysięcy ludzi.

Dowództwo najbardziej marzyło się tym, którzy z urodzenia mienili się największymi przywódcami chrześcijaństwa. Byli to hrabia de Nevers z Burgundii, bardzo zawistny o rycerską sławę, bo jeszcze sam takowej nie zdobył, dalej pyszny konetabl Francji, hrabia d'Eu i wojowniczy marszałek Jean le Meingre zwany Boucicaut, sławny na cały świat z tego, że nigdy nie pokonano go w żadnym turnieju. Wszyscy młodzi, żądni przygód i rycerskiej sławy, pełni pogardy dla nieprzyjaciela, a przekonani o wyższości zachodniego rycerstwa nad innymi wojownikami. Był wśród dowódców także stary hrabia Enguerrand de Coucy, zięć angielskiego króla i jeden z najsławniejszych rycerzy całego świata, przydany młodym dla jego doświadczenia, o ile zechcieliby z tego korzystać, na co się jednak nie zanosilo.

Rej wodził hrabia de Nevers, mały, paskudny Burgundczyk, który trzystu swoich najbliższych kompanów i towarzyszy z własnej kiesy ubrał w jasną zieleń, a dla wygody wioził ze sobą na dwudziestu czterech wozach namioty, łoża, zasłony, poduszki, złote talerze i

kubki. On był właściwym wodzem krucjaty, każdy jego krok poprzedzali heroldowie ze złotymi trąbkami, każde jego słowo zapisywali skrybowie, taszczący z sobą księgi, żeby w nich utrwalić jego bohaterskie czyny.

Król węgierski Zygmunt innym dowódcom dorównywał wprawdzie pochodzeniem i wiekiem, bo nie miał jeszcze trzydziestu lat, ale nie mógł współzawodniczyć z tymi, którzy uważali się za przywódców całego chrześcijaństwa. Zygmunt Luksemburski utracił zresztą w oczach wielkich panów także i z powodu swojej ostrożności. Inaczej niż oni nie parł bezwarunkowo naprzód, radził czekać, obserwować, analizować meldunki szpiegów. Francuscy wodzowie wzruszali ramionami na takie zachowanie i nie szczędzili kąśliwych uwag.

- Postępując w ten sposób, dalibyśmy dowód, że się obawiamy pogan - mówili dumnie. - Nie godzi się okazywać strachu wobec kogoś tak nikczemnego, bo obrazilibyśmy naszego Boga, dla sławy którego walczymy.

Mikołaj z Lipowej poważnie obawiał się, że krucjata ugrzęźnie w Wiedniu, tak długo trwały targi o przyszłą sławę i łupy. Ale wreszcie ruszyli. Poszli na południe lewym brzegiem Dunaju, pod Oszawą przeprawili się na drugą stronę i szli dalej. Wolno, szeroko, niespiesznie. Wieczory spędzano na ucztach, tańcach, pijatykach i zabawach. Grała muzyka, płaśano, bawiono się, śpiewano, swawolono z niewiastami, których całe tabuny ciągnęły za armią łądem i rzeką. Zaopatrzenie dowożono statkami po Dunaju i nie brakowało ani najlepszych win ani zamorskich przypraw.

Na razie nie napotykali nieprzyjaciół i we wszystkich krzyżowcach rosło przekonanie, że na tym polegać będzie cała wyprawa - na wesołym pochodzie przez kraj podległy sułtanowi Bajazytowi.

Uwierzyli w to i dowódcy, którzy nie musieli niczego robić, nawet zagrzewać ludzi do boju. Kiedy czasem napotykali małe oddziały wroga albo umocnione punkty oporu, wodzowie zostawiali ich zdobycie ochotnikom, sami nie zwracając sobie tym głowy.

- Obudźcie nas, gdy spotkacie coś naprawdę poważnego - mówili.

Dwadzieścia tysięcy ludzi, jacy otaczali węgierskiego Zygmunta - Węgrzy, ochotnicy z krajów niemieckich, z Polski i Czech, oddziały Krzyżaków i Szpitalników z Rodos, a także gromada innych, wśród których był i Mikołaj z Lipowej - trzymało się nieco na uboczu, tworząc jakby drugą armię, niedopuszczaną prawie do bliskiej komitywy ze sławnymi rycerzami Francji, Burgundii, Lotaryngii.

Wobec dotychczasowego niezakłóconego pochodu przywódcy krucjaty wyśmiewali uwagi węgierskiego Zygmunta i jego przestrogi o bitności Saracenów. Na razie ich wojskom

nie przyszło spotkać się w polu z Turkami, bijali głównie słabo uzbrojonych schizmatyckich Bułgarów, wśród których z rzadka tylko trafiali się Turcy. Małe zwycięstwa brali za wielkie triumfy, a te dodawały im odwagi w przechwałkach.

Zygmunt Luksemburski, który lękał się, że pokonanie sułtana Bajazyta nie pójdzie łatwo i sprawnie, był człowiekiem słabego charakteru i w milczeniu znosił wyrzuty dostojnych książąt, że brak mu odwagi i chęci. Kiedy jednak wprost pomówili go o tchórzostwo, musiał działać. Chcąc zatem udowodnić, że jest inaczej, podejmował forsowne działania wywiadowcze, był strażą tylną i zwiadem. Jego ludzie pełnili służbę dzień po dniu, wyprawiali się na długie i męczące podjazdy, stanowili ochronę wojskowych obozów, podczas gdy kierujący wyprawą leczyli się z pijaństwa. Dostojni dowódcy, co chwila kłócący się między sobą o słowa, zazdrośni o bohaterskie czyny i rycerską sławę, nawet nie słuchali meldunków królewskich zwiadowców. Marszałek Boucicaut zapowiedział zresztą, że każdy kto będzie głośno mówił o sile Turków i tym sposobem osłabiał ducha w chrześcijańskich wojskach, straci uszy.

Była połowa września. Armia krzyżowców łatwo zdobywszy dawny bułgarski Widyń, stała teraz pod Oriachowem, silną twierdzą nad Dunajem, otoczoną potężnymi murami. Wyszli już z niej szeregami wojownicy tureccy i Bułgarzy, zhołdowani niedawno przez sułtana, a nad murami powiewały sztandary ze znakiem krzyża. W obozie chrześcijańskim głośno świętowano zwycięstwo.

- I cóż, panie Mikołaju? Nadal jesteście niezadowoleni? Przecież zwycięstwo idzie za zwycięstwem!

Pan Świętosław herbu Łada, zwany Szczenię, zakurzony, w pogiętej nieco zbroi, przybiegł do namiotu Mikołaja z Lipowej, ustawionego na skraju obozowiska od zachodniej strony.

- No? - pytał roześmiany. - Teraz chyba nie powiecie, że to nieudana, źle dowodzona wyprawa!

Świętosław śmiał się i radował. Wprawdzie ataki prowadzone przez marszałka Francji załamały się i tylko interwencja węgierskiego Zygmunta uchroniła ich od klęski, ale przywódcy wyprawy zdawali się nie zwracać na to uwagi.

Oblężeni w Oriachowie, przestraszeni wielkością i siłą krzyżowej armii, wkrótce sami poddali twierdzę. Król węgierski, na którego ręce trafił akt kapitulacji, przyrzekł im zachowanie życia i majątków.

Twierdzę zajęto więc przy dźwiękach mosiężnych trąb i rogów, przy waleniu w bębny i radosnych okrzykach.

Ważniejszych mieszkańców wzięto w niewolę, a tylko tureckich dowódców natychmiast wybito, bo cóż warte jest życie poganina?

Pan Świętosław odrzucił na ziemię hełm i skoczył ku ogniovi, jaki niedawno rozniecił Linus, giermek Mikołaja.

Gość rwał rękami niedopieczone jeszcze mięso, napychał nim sobie usta, od czasu do czasu z zadowoleniem klepiąc się po blachach na piersi.

- Jestem strasznie głodny. Bitewny zapach zawsze tak na mnie działa, że zjadłbym, ile tylko widzę przed sobą - usprawiedliwiał się.

Mikołaj nie brał udziału w walkach pod Oriachowem, bo z grupą dowodzoną przez króla węgierskiego powrócił właśnie z dalekiego patrolu, szukającego głównych sił tureckiego wojska.

- Częstujcie się - zachęcił teraz. - Podaj chleba, Linus. Giermek zmieszał się.

- Nie wiem, czy jeszcze co zostało, panie - tłumaczył się niezręcznie.

- Nie ma? Przecież widziałem rano, że statki przyplłynęły.

- Przyplłynęły. Pobiegłem zaraz po zapasy, ale mąka już wyszła, zostało tylko wino.

No i niewiasty przyjechały... Linus przeżegnał się ukradkiem.

- Żołnierze pilnowali - dodał wyjaśniająco na spojrzenie Mikołaja. - Ale zobaczyłem niemało. Francuzi i Burgundowie znowu wszystko zabrali dla siebie. Nasze podjazdy mało co przywiozły, bo w okolicy nie bardzo już jest co zabierać i trzeba jeździć coraz dalej.

- A widzicie - wtrącił się Świętosław. - Gdybyśmy nie zdobyli miasta, brakło by nam zapasów.

- Prawda - zgodził się Mikołaj. - Niepokoi mnie tylko to rozprężenie w obozie. Jeśli szybko nie trafimy na prawdziwą walkę, będzie niedobrze. Już co poniektórzy uciekają, a reszta rzadko trzeźwieje. Gdyby, nie daj Boże, sułtańskie wojska uderzyły znienacka, żywa noga by nie uszła.

W obozie pod Oriachowem stanęli blisko siebie sami znajomi. Mikołaj z Lipowej, Jordan z Wojcieszowa, Świętosław Łada, zwany Szczenię, stary Jan z Kamieniowej, Wawrzyniec Buk z bratem Firlejem i kilku innych. Tylko Gotard z Brzezin przepadł gdzieś na początku wyprawy, ale podobno widziano go w szeregach francuskich.

Króla Zygmunta otaczało wielu weteranów ubiegłych wojen. Nie brakowało takich, którzy pozostając między sobą w nieprzyjaźni, na czas wyprawy zawarli rozejm, bo mieli przed sobą wspólnego wroga, z jakim teraz chcieli się zmierzyć.

Dawnych swoich przeciwników spotkał w tym obozie i Mikołaj z Lipowej. Któregoś dnia pośród karnego oddziału Zakonu Najświętszej Maryi Panny, przysłanego tu przez

wielkiego mistrza, zobaczył Alberta von Neuburg. Dawny brat Alben był teraz zwykłym zakonnym sługą, człowiekiem w skórzanym kaftanie, z niewiadomych powodów noszącym na głowie końską uzdę i żelazne wędzidło pomiędzy zębami. Mikołaj nie zapomniał butnego Krzyżaka, a i brat Albert rozpoznał swojego wroga. Niepewnie pozdrowił go gestem dłoni, na co pan z Lipowej odpowiedział podobnym skinieniem. Teraz znajdowali się w jednej armii i w jednym obozie.

Daleko więcej radości miał Mikołaj ze spotkania z Janem z Tymbarku, którego namiot poprzedniego dnia stanął przypadkiem tuż obok.

Rozpoznali się od razu. Mikołaj z Lipowej wrócił właśnie z patrolu, gdzie w sto koni bezskutecznie szukali Turków, zmęczony długą jazdą zsiadł z wierzchowca i zmierzał do swojej kwatery, kiedy drogę zastąpił mu jakiś rycerz. Był średniego wzrostu, smukły, na czoło spadał mu kosmyk siwych włosów.

Mikołaj miał jeszcze hełm na głowie, ale tamten poznał go widać po znaku herbowym na tarczy. Ukłonił się lekko i skrzyżował ręce na piersiach.

- Czy mnie poznajecie, panie? Mikołaj zdjął hełm i oddał ukłon.

- Poznają was, Janie z Tymbarku.

- Kiedyś... - zaczął przybyły. - Kiedyś gotów byłem was wyzwąć pa pojedynek i zabić, ale dziś raduję się, widząc was tutaj w dobrym zdrowiu.

Przed laty Jan z Tymbarku był po słowie z Hedwigą córką Janosza, stanął z nią nawet przed ołtarzem i tylko przypadek sprawił, że ślubu nie było.

- Kiedyś przyjąłbym wyzwanie - odpowiedział Mikołaj. - A dziś raduję się, widząc was tutaj i jeśli nie pogardzicie, ofiaruję wam gościnę w moim namiocie.

Podali sobie ręce, jakby nie byli dawniej rywalami o serce tej samej niewiasty, i Jan z Tymbarku poszedł do namiotu Mikołaja.

Kiedy giermek Linus pomagał panu rozdziać się ze zbroi, umyć w misie, a potem podał skromny posiłek, Jan z Tymbarku wypytywał o nowiny z Doliny, wspominając wspólnych znajomych. Sam był blisko króla Zygmunta, od lat należąc do jego zaufanych dworzan. Od niego dowiedział się Mikołaj o zeszłorocznych bitwach z Turkami i o sposobach walki uprawianych przez Saracenów.

- Lękam się o naszą wyprawę - mówił cicho Jan z Tymbarku. - Nie wolno lekceważyć Saracenów. Są niczym rozdrażnione osy, przed którymi nie ma innego ratunku jak ucieczka do wody.

Mikołaj z Lipowej, już doświadczony w licznych wyprawach, wzbogacony jeszcze w opowieści i przestrogi ojca, był podobnego zdania. Uważał, że nawet duża siła, jaką teraz

mają krzyżowcy, ale nieudolnie dowodzona i lekceważąca przeciwnika, może okazać się niewystarczająca, kiedy wyprawa trafi na zwarte oddziały Bajazyta. Tymczasem dowódcy krucjaty w ogóle nie wierzyli w istnienie sułtańskiej armii.

- Oni biorą te małe oddziały za wszystko, czym dysponują Saraceni - martwił się Jan z Tymbarku. - Sam słyszałem, jak hrabia de Nevers obliczał, że do tej pory znieśliśmy już dwie piąte wszystkich sił sultana. Najpoważniej są przekonani, że same wieści o zdobyciu Widynia i Oriachowa spowodują, że Turcy w strachu opuszczą Nicopolis. Ale wierzcie mi, to nie jest twierdza łatwa do zdobycia. Byłem tam przed laty, wiem, co mówię. A my przecież nawet najmniejszych machin nie mamy.

Nie rozmawiali o przeszłości. Jan z Tymbarku tylko raz jeden zapytał o Hedwigę, a usłyszawszy, że została żoną Mikołaja, pokiwał głową.

- Od początku tak powinno być - przyznał spokojnie. - Ona była wam przeznaczona, to pewne. Ja oddaliłem tylko chwilę waszego spotkania.

Sam nie był żonaty, z powodu dawnego ślubu, złożonego przed laty, według którego zobowiązał się przede wszystkim do walki z niewiernymi. Gwarzyli długo w noc, a kiedy kilka dni później wyprawa przesunęła się pod białe mury Nicopolis i stanęła wokoło nich wielkim obozem, Jan z Tymbarku kazał rozbić swój namiot w bezpośredniej bliskości namiotu rycerza z Lipowej.

- Muszę was trochę pilnować - śmiał się do Mikołaja. - Pani Hedwiga zapewne nie darowałaby mi, gdybym nie ochronił ojca jej bliźniaczych chłopców.

## Dorotka

Dorotka była jedyną córką pana Tobiasza z Wygody herbu Ostoja, który miał ponadto dwóch dorosłych synów, służących na dalekich książęcych dworach.

Kiedy pan Tobiasz przyjeżdżał do Lipowej, najczęściej towarzyszyła mu żona Małgorzata i kilkuletnia córka Dorotka. Gdy starsi zajmowali się swoimi sprawami, dzieciaki hasały razem. Bliźniacy z Lipowej byli zadowoleni z towarzystwa dziewczynki, bo choć należała do słabej płci, miała jedną pożyteczną cechę - chętnie uczestniczyła w ich psotach i zwykle stosowała się do poleceń. W zabawach bywała najczęściej w gorszej sytuacji, Marcin zawsze tu górował i zwykle nakazywał, żeby jako najmłodsza bywała Saracensem, którego należało schwytać na polu podczas zasadzki i przywiązać do drzewa, albo ofiarą jakiej innej gonitwy. Czasami Dorotka popłakiwała po takich harcach, ale raczej rzadko, bo była z natury wesoła i przepadała za zabawą.

Jasnowłosa, okrągła na twarzy, z dołkami w policzkach, z niebieskimi oczami była uosobieniem niewinności, ale trudno jej było usiedzieć na miejscu, nieraz brała w skórę od matki, bo lubiła łączyć z chłopcami po drzewach, biegać po polach, brodzić po wodzie w poszukiwaniu raków albo sprawdzać, jak szeroki jest okap nad kuchnią. Tego dnia we dworze w Lipowej mówiło się o możliwych zaręczynach Elżbietki z Krasawy. To była pierwsza nowina, jaką Hedwiga przekazała przybyłym właśnie pani Małgorzacie z Wygody i jej mężowi.

- Dobry wybór - chwalił pan Tobiasz. - Młody Konrad to nie byle kto, wcale pokaźny majątek przy nim, a po śmierci ojca to nawet ho ho!

Pani Małgorzata podkreślała raczej, że Konrad jest urodziwy, kształtny i ujmujący w sposobie bycia.

Tak czy inaczej dzieci też słyszały nowiny dotyczące ich ciotki i kiedy uwolniwszy się wreszcie spod nadzoru dorosłych, pobiegły na pola nad stawem, prawie siedmioletnia Dorotka powiedziała:

- A ja to będę miała dwunastu kawalerów. Wywołało to natychmiastowe drwiny dziewięcioletniego Marcina.

- Widzicie ją! - śmiał się. - Wymyśliła! Może od razu powiesz, że jeszcze więcej.

- Może i więcej - poprawiła zupełnie poważnie Dorotka. - Ale dwunastu co najmniej. Żebym mogła wybierać i przebierać.

- Przebierać? - śmiał się Marcin. - Niby w jabłkach?

- A pewnie! - upierała się Dorotka.

Mateusz milczał, bo zwykle był małomówny. Ale teraz odezwał się niepytany.

- Zawsze lepiej mieć w czym wybierać - zauważył. Marcin zezłościł się także na brata.

- Bronisz jej? Zawsze jej bronisz! O... o... białogłowy broni!

- Wcale nie - próbował odciąć się Mateusz. - Tylko naprawdę lepiej mieć wybór.

- Mądrała! Myślisz, że niewiasty są takie głupie i zaraz ciebie wybiorą, tak?

- No, nie - zaczerwienił się Mateusz. - Nie mówiłem o sobie...

- To jeszcze zobaczymy! - zapowiedział Marcin. Zaraz też wymyślił nową zabawę.

Mateuszowi nie bardzo się spodobała, ale Dorotka aż zaklaskała w rączki z uciechy.

- O tak, tak! - wołała. - Pobawmy się!

Marcin zarządził też od razu, co i jak będzie wyglądało.

- Koło tamtego krzaka będzie dwór Dorotki. Stój tam i czekaj. My będziemy konkurentami do twojej ręki. Przyjedziemy do dworu, pokłonimy się twoim rodzicom, a ty wybierzesz. Jest nas tylko dwóch, ale będziemy udawać, że jest nas dwunastu...

Dorotka pobiegła we wskazane miejsce, stanęła tam i wyglądała na drogę, osłaniając czoło dłonią. A oni nadjechali z różnych stron niby prawdziwi rycerze, podskokami naśladując konną jazdę.

- Jestem sławny Marcin Waleczny - kłaniał się Dorotce, która najpierw występowała w roli ojca i matki. - Panie ojcze, pani matko, przemierzyłem świat cały i przybyłem do waszego dworu, żeby pojąć za żonę córkę waszą Dorotkę, która piękna jest i nadobna...

- A widzisz! Piękna i nadobna! - śmiała się ucieszona Dorotka.

- Cicho! - syczał Marcin. - Teraz się nie odzywaj, bo teraz jesteś ojcem i matką. Więc Dorotka milkła, odkłamała się konkurentowi i mówiła:

- Witajcie wspaniały rycerzu, bardzo jestem rada widzieć was pod naszym dachem. Zaraz pójdę do komory i zapytam córki, co powie na wasze oświadczyzny...

Szła za krzak czarnego bzu, skąd po chwili wracała już jako narzeczona, ze spuszczonej oczami.

- Nie wiem jeszcze, kogo wybiorę - mówiła. - Nie wiem, tak wielu kawalerów dobija się do mojej ręki...

- Ale to ja jestem najpiękniejszym, najdzielniejszym, najwspanialszym rycerzem, i jeszcze najbogatszym. Ja, Marcin Waleczny!

Dorotka znowu przemawiała w imieniu swojej matki:

- Spocznijcie, rycerzu, w chłodzie, zaraz wam podadzą wino albo chlebowy kwas, jeśli wolicie. Ja tymczasem wysłucham posłania innych, bo właśnie któryś nadjeżdża. Witajcie,



panie rycerzu. Wy też chcecie zapytać o moją córkę?

- Tak - skinął głową Mateusz. - Podobno jest w waszym dworze najpiękniejsza niewiasta, słynąca cnotami na całą okolicę. Przyjechałem, żeby powiedzieć jej, że właśnie wyruszam do Hiszpanii albo nawet dalej, gdzie mieszka straszliwy smok. Odnajdę potwora, pokonam go, a damie mojego serca przywiozę jego siedem języków... Dorotka chichotała zachwycona i ku niezadowoleniu Marcina ostatecznie wybrała młodszego z braci.

- Czemu jego? - nadał się Marcin. - Przecież to ja jestem rycerzem najdzielniejszym i najbogatszym, więc to mnie powinnaś wybrać.

- Ale Mateusz powiedział, że pokona smoka i przywiezie jego siedem języków.

Marcin nadał się okropnie.

- Jesteś głupia! - krzyknął obrażony. - On miałby pokonać smoka? Przecież on nawet konno dobrze jeździć nie umie, tylko by w wodzie siedział jak rak. Jeśli ktoś miałby pokonać smoka, to tylko ja.

- Ale smok jest mój! - sprzeciwił się Mateusz. - Ja go wymyśliłem i jest mój.

I stanął naprzeciw brata z zaciśniętymi, pięściami, choć w oczach miał łzy. Marcin, w podobnych sytuacjach skory do bitki i siłowania się, tym razem nie miał jednak na to ochoty.

- To go sobie miej! - rzucił wyniośle. - W ogóle to jest głupia zabawa. Idę poszukać ptasich gniazd. Dorotka chciała go zatrzymać, bo tak pięknie się przecież bawili, ale Marcin nie dał się przekonać.

- Sami się sobie bawcie - powiedział i odwrócił się na pięcie. Po chwili Dorotka pobiegła za nim, a na końcu ruszył Mateusz, ze spuszczoną głową i zasmuconą miną.

Ale wieczorem się pogodzili i znowu bawili razem. Marcin był teraz sławnym rycerzem, który w Hiszpanii pokonał groźnego smoka i przywiózł jego ogniste języki wybrance swego serca. Mateusz był dostojnym biskupem i w królewskiej katedrze dawał im ślub.

## Gniew pana Osta

Tego wieczora Oset z Dębowca dowiedział się nagle o swojej żonie więcej, niż w ogóle mógł przypuszczać. Dowiedziawszy się, chciał natychmiast się upewnić, czy są prawdą jego przypuszczenia. I nie baczył na to, że żona miała właśnie rodzić. Do izby, gdzie leżała Roksana, Oset wtargnął, niczym rozjuszone zwierzę. Miał w oczach strach i przerażenie. Potrafił służebną, która niosła pani ciepłe mleko i biały płyn rozprysnął się wokoło, ale on nawet tego nie zauważył.

- Precz! - wrzasnął tylko, chwycił służącą za kark i popchnął.

Zatoczyła się na drzwi, umknęła przerażona, niesiony dzbanek rozbijając na progu.

Roksana leżała na swoim posłaniu, dodatkowo wymoszczonym miękkimi skórami. Miała bardzo wielki brzuch i potrzebowała dużo miejsca. Otworzyła szeroko oczy, zdziwiona zachowaniem męża, a ten jednym skokiem przebył odległość dzielącą go od żony.

- Co to jest?! - wrzeszczał. - Co to jest?

Roksana patrzyła, nie rozumiejąc powodu niespodziewanego wybuchu i szalonego zachowania. Dopiero kiedy cisnął w jej kierunku to, co przyniósł, pobladła nagle. Na jej kolana spadły długie czarne włosy. Była to peruka - umocowane do kawałka tkaniny ludzkie włosy.

- Odpowiadaj! - krzyknął, pochylając się nad nią ze złością. - Odpowiadaj natychmiast! Skąd wzięły się te rzeczy w twoim kufrze?

Roksana poprawiła się na posłaniu, żeby lepiej przyjąć przedporodowy ból, jaki miał zaraz nadejść.

- Nie wiem, o czym mówisz - odpowiedziała. Przyskoczył, chwycił perukę i rozpostarł ją obiema rękami.

- Nie wiesz? - zapytał groźnym, syczącym szeptem. - Nic nie wiesz? I udajesz niewiniątko, tak? To ja ci powiem! Nie poruszyła się.

- Teraz rozumiem - krzyczał. - Teraz dopiero wszystko rozumiem. Wiedźma z Biskupic! Wiedźma z Biskupic to ty! Roksana wzruszyła ramionami.

- Oszalałeś - odpowiedziała spokojnie. - Usiądź, uspokój się. Zaraz będę rodzić.

- Nie będę siadał. Dość już tych twoich sztuczek i czarów. To są włosy Wiedźmy z Biskupic. Nikt nie podejrzewał, że niewiasta w czerni, z czarnymi włosami naprawdę może mieć włosy jasne. Chytrze to wymyśliłaś. Ale nie dość chytrze, bo wszystko się wydało. Ty jesteś wiedźmą, ty odpowiadasz za wszystkie nieszczęścia w Dolinie. Ty kazałaś mi

pochwycić Nastkę i doprowadziłaś do tego, że spalili ją na stosie jako czarownicę. Niewinną, głupią dziewczkę. A śmierć Lutka? To też twoja sprawka. Zabiłaś go, bo może jak ja odkrył, kim naprawdę jesteś. A jesteś zabójczynią. I jesteś czarownicą!

Patrzyła wprost, zupełnie bez lęku. Dotknęła tylko brzucha i jej twarz wykrzywiła się grymasem nadchodzącego bólu.

- Pijesz zbyt wiele - zauważyła spokojnie. - Wcale nie wiem, o czym mówisz.

Ale Oset nie dał się zbyt łatwo. Odkrycie straszliwej tajemnicy poraziło go, lecz nie odebrało umiejętności myślenia.

- Zaraz to udowodnię - wycedził przez zęby. - Daj klucz do skrzyni. Roksana spojrzała zdziwiona.

- Do skrzyni? Do jakiej skrzyni?

- Do twojej. Do tej, w której na pewno są dalsze dowody na twoje czary. Długo głowiłem się, jak twój pierścień mógł trafić do szalonej Nastki. Teraz wiem, że to ty go jej dałaś. Dałaś, bo wiedziałaś, że to będzie dowód przeciw niej. Dowód, który oddali od ciebie jakiegokolwiek podejrzenia.

Stał nad żoną, dysząc ciężko, przygnieciony ciężarem straszliwych zbrodni i tej ponurej tajemnicy. Pani Roksana pomacała brzuch.

- Chyba nadchodzi - powiadomiła. A potem dodała:

- Tak. To ja.

Choć spodziewał się, że teraz się przyzna, był zaskoczony.

- Ostrzegali mnie - burknął. - Ostrzegali, żebym się z tobą nie wiązał. A ja, głupi, chciałem cię ochraniać i bronić. Ciebie, co jesteś może samym diabłem. Kim ty właściwie jesteś? Po co zjawiałaś się tutaj, na nieszczęście dla nas wszystkich? Za jakie grzechy Bóg pokarał mnie tobą, nie dał spokojnej niewiasty, a dał mi czarownicę do łóża?

- Sam mnie wybrałeś - przypomniała.

Była opanowana, zimna i stanowcza. Wcale nie taka jak na co dzień - łagodna i trochę nawet nieśmiała.

- Sam wybrałeś - powtórzyła. - A kim jestem? Przecież mnie znasz.

- Tak do tej pory myślałem. Myślałem, że cię znam, bo miałem cię za dobrą istotę, nie podejrzewałem, że jesteś wcielonym diabłem i zbrodniarką, przy której nawet przebywać strach i grzech.

- Znasz mnie. Wszyscy mnie tu znacie. Może zapomnieliście, ale teraz sobie przypomnicie. Ostowi nie podobał się zły, zawzięty uśmiech żony.

- Więc się przyznajesz? - zapytał mocno poruszony. - Przyznajesz się, że posłałaś

Nastkę na stos? I może jeszcze, że zabiłaś swojego pierwszego męża?

- Tego głupka? Sam umarł. Ze strachu. I ty umrzesz, jeśli tylko zechcę. Oset osłupiał. A potem chwycił miecz. Roześmiała się.

- No - zachęciła. - Uderz. A potem idź do sądu i powiedz, że zabiłeś mnie i swoje dziecko. Bez żadnego powodu. Albo od razu idź się powiesić!

Wstała, pokraczna, z trudem trzymając się na nogach.

- Kto ci uwierzy, głupcze, że miałaś jakikolwiek powód do takiej zbrodni? Kto uwierzy, że twoja dobra, łagodna żona zrobiła coś złego? Uznają, że jesteś szalony. Ale to nie będzie dla ciebie usprawiedliwienie i dasz głowę pod topór. A wtedy nie tylko ciebie nie będzie, ale i twojego dziecka, co się ma zaraz urodzić.

Oset odwrócił się ze wstrętem.

- Dziecko? - zasyczał z odrazą. - Ty miałabyś urodzić dziecko? Ty możesz urodzić tylko potwora.

- Twojego potwora - poprawiła. - Chciałam spędzić płód, jak to zrobiłam z poprzednim, ale załagał się we mnie i został. Zaraz przyjdzie na świat. Nie chciałam, ale przyjdzie.

A kiedy przyjdzie, odpłaci wam wszystkim. Wszystkim, na których ja nie zdążyłam się zemścić.

- O czym ty mówisz? Ty chcesz odpłacić? Za co? Kto uczynił ci taką krzywdę, że chcesz się mścić tak strasznie?

- Wielu, wszyscy.

- I ja? Przecież byłem dla ciebie dobry. Opiekowałem się tobą, nie pozwoliłem trwać w smutku.

- Wcześniej zabiłeś mi ojca, a mnie skazałeś na poniewierkę! Oset wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- Ja? Ja zabiłem ci ojca? Przecież go nawet nie znam.

- Zabiłeś. Bo to ty podałeś przekłębemu Mikołajowi z Lipowej, którego już pochłonęło piekło na wyprawie, ty mu podałeś urychtowaną kuszę.

- Kuszę? Mikołajowi? - Oset ciągle jeszcze nie rozumiał. Aż nagle wszystko stało się jasne. Jasne jak w dzień.

- Ostasz - wyszeptał pobladłymi wargami, bezsilnie opadając na ławę. - Ostasz z Lipowej tak zginął na wieży w Lutowcu.

- No! - uśmiechnęła się Roksana. - Wreszcie się tego domyśliłeś. To był mój ojciec, którego zabiłeś z tamym drugim przekłębikiem.

- Więc ty, więc ty jesteś... Roksana roześmiała się cicho.

- Jeszcze tego nie odgadłeś? Ja jestem Odina. Odina, córka Ostasza, prawowitego pana na Lipowej. Nie mógł uwierzyć.

- Odina? To niemożliwe!

- To prawda. Ty jesteś jego zabójcą, a twoje dziecko jest jego wnukiem. Czy teraz odważysz się uderzyć?

Oset zacharczał i opadł na posłanie, bo inaczej zwałiłby się na podłogę. Gdzie się podziała łagodna, miła Roksana? Kim jest ta pobrzydła nagle, wykrzywiona i straszna niewiasta?

- Ubiję cię - wychrypiał przez zaciśnięte zęby. - Ubiję i nikt nigdy się o tym wszystkim nie dowie.

Roześmiała się głośno.

- Głupi jesteś - odpowiedziała lekceważąco. - Od dawna to przygotowuję. Od dawna. Długo się uczyłam, jak ukarać was wszystkich. I już wiem. Już wszystko przygotowałam. Nikt nie uniknie swojego losu. Nikt. Ukarzę was za mojego ojca, moją matkę i za moją poniewierkę. Dawno przysięgłam sobie, że to zrobię. I tylko temu służyły wszelkie moje zabiegi. Przysięgłam i nie cofnę się przed niczym. Przed kłamstwem, przed podstępem, przed zbrodnią nawet. Takie jest moje posłannictwo i moje ziemskie zadanie. Nikt mi nie przeszkodzi, bo nikt nic mi nie może zrobić, nawet ty, który na swoje nieszczęście zbyt wcześnie odkryłeś, kim jestem...

Jęknął.

- Mogę cię ubić - Nie możesz. Bo jest ktoś, kto się o mnie upomni. Nie tylko sąd. Upomni się o mnie ktoś, kto o tym wszystkim wie. Jest taki człowiek. On opowie ludziom, a jemu uwierzą.

- Nieprawda! - szepnął bezradnie.

- Prawda. Każdy uwierzy księdzu Franciszkowi. Jemu powiedziałam o wszystkim na spowiedzi. On jest tu nowy, nie wszystko rozumie, ale wie dość, żeby od ciebie i innych zażądać zadośćuczynienia. Tylko spróbuj mnie ukrzywdzić, a sam zobaczysz, jak ty i twoi ukochani zapłaczą. Nie popełniłam żadnego błędu. Wszystko przygotowałam. Nawet to, że kiedyś odkryjesz moją tajemnicę. Bo co z tego, że odkryłeś? Co teraz zrobisz? Co? Powiesz, że to ja jestem Wiedźmą z Biskupic? Nikt ci nie uwierzy. A gdyby nawet, to byłoby dla ciebie jeszcze gorsze. Bo ty splodziłeś dziecko z wiedźmą. Ucieszy się z tego twój król, ucieszy się twój ukochany Mikołajek i ten wyniosły starosta. Dadzą ci nagrody i zaszczyty, że spałeś w jednym łóżu z czarownicą? Nie ukarzą za te wszystkie nieszczęścia, jakie się tu zdarzyły?

Jeśli powiem, że mi pomagałeś w czarach, że cię skłoniłam do pomocy, jak się uratujesz? Wcale nie zginiesz jak bohater, jak rycerz. Zginiesz jak czarownik, na stosie. I twoje dziecko spłonie na stosie. I cały twój, pożał się Boże, ród.

Oset siedział na podłodze, gdzie się osunął, w miarę jak mówiła, trzymał się teraz obiema rękami za głowę i jęczał.

- Płacz - powiedziała. - Tyle ci tylko zostało. Reszta już przepadła. Cokolwiek byś zrobił, będzie źle. Więc mi nie mów, co ja mam robić. Bo teraz to ja będę panowała nad tobą, a ty będziesz posłuszny.

- Nigdy! Choćby nie wiem jaki grzech spadł na moją głowę!

- Tylko spróbuj mnie ukrzywdzić! Tylko spróbuj. Ksiądz Franciszek... Przerwała, stęknęła i skręciła się nagle z bólu.

- Zaczęło się - powiedziała po chwili. - Zaraz urodzi się twój syn. Jeśli chcesz cokolwiek na tym wszystkim zyskać, milcz! Milcz i słuchaj, a może dam ci jeszcze możliwość z tego wybrnąć. Tylko tobie, nikomu więcej. Nikomu; Ale milcz i bądź posłuszny.

Wróciła na łożo i przysiadła na brzegu.

- Idź po niewiasty - rozkazała. - I pamiętaj, co rzekłam. Jedno twoje słowo, a skończysz w lochu, a potem na stosie. I twój syn z tobą.

Krzyczał i groził, ale szybko przekonał się, że przegrał w tym pojedynku. Roksana miała nad nim przewagę. Co by zrobił, jak by postąpił, był w pułapce. I nie mógł nikomu wyznać prawdy.

Wybiegł z izby, przeleciał przez sieni, wypadł na podwórze, dopadł konia i pognął przed siebie. Służebne myślały, że tak się przejął porodem żony, nawołującej właśnie pomocy.

- Patrzcie go - powiedziała jedna. - Mężczyźni głupieją, kiedy żony mają rodzić. Tacy niby odważni, a ani patrzeć, ani nawet czekać spokojnie nie mogą.

- Pewnie - odparła druga. - Jakiego by nie był stanu, na miejscu nie usiedzi. Pewnikiem pojechał do gospody, jakby się w domu nie mógł upić.

Oset pędził tymczasem konno po polach, bez celu, przejęty tym wszystkim, co usłyszał, przerażony tym, co się stało i tym, co miało się zdarzyć. Cały jego świat walił się w gruzy, płonął niczym pochodnia. Miała rację Roksana - nie miał żadnego wyjścia, żadnej drogi ucieczki. Cokolwiek by zrobił, jakkolwiek by postąpił, przegrał. Roksana zapowiedziała przecież wyraźnie. Roksana? Nie, nie Roksana. Odina. Odina!

Kiedy dotarł do gospody Pod Jeleniem, zgoniony, spocony, z włosami zmierzwiłymi i pałającym spojrzeniem, wystraszył wszystkich.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! - zawołała na jego widok Wiesna. - Jak wyglądacie, panie! Błaziście jak jaki nieboszczyk!

Uśmiechała się, próbowała być zalotna. Oset był kiedyś dla niej dobry i choć z dawna już nie odwiedzał gospody, to przecież zapomnieć nie mogła i czekała, żeby się pojawił.

Nie odpowiedział ani słowa. Pił tęgo, nie mówiąc nic, a ona chodziła wokoło zatroskana i przestraszona nawet, bo czemu tak pił, czemu się nie odzywał wcale, więc go próbowała wypytywać i jakoś pocieszać.

- A żona jak? - zapytała. - Podobno na dniach rodzić ma?

- Milcz! - wrzasnęła niespodziewanie i odskoczyła jak oparzona, a potem cały czas chodziła obok, nadąsana i tylko podstawiała coraz to nowe dzbanki.

- Oto mężczyźni - westchnęła.

Wstał chwiejnie, wyszedł, podpierając się o ściany, jakoś dosiadł konia i popędził. Nie pamiętał, jak długo jechał i jakim sposobem znowu znalazł się w Dębowcu.

Nie wiedział, jak tu trafił, nie rozumiał, co do niego mówiono.

- Syn, panie - uśmiechała się służebna. - Macie pięknego chłopaczka!

Nie usłyszał tego, nie chciał zobaczyć dziecka. Pobiegł do Roksany, krzyczał i kopął w drzwi, bo te zastał zamknięte. Nie wpuściła go do izby. Tylko ostrym, drapieżnym, kaleczącym duszę szeptem wyjawiała mu swoje warunki.

- Wszystko jedno, czy mnie wypędzisz, czy zabijesz, czy podłożysz ogień - powiedziała - staniesz na sąd ludzki i na sąd boski. A ludzie ci nie uwierzą. Jeśliby nawet uwierzyli, będzie dla ciebie jeszcze gorzej, zostaniesz współwinny czarów. Bo powiem, że to wcale nie jest twoje dziecko. Powiem, że to dziecko szatana, ty głupcze. Lepiej trzymaj się od niego z daleka, jeśli nie chcesz stracić wszystkiego. Zony, dziecka, szlachectwa, życia. Możesz tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Możesz udawać, że się pokłóciliśmy, a ty pojechałeś daleko. Jedź i najlepiej nie wracaj. Myślałeś, że mnie tak łatwo pokonasz? Niedoczekanie twoje! Za długo czekałam, żebym teraz miała się poddać. Znowu groził, krzyczał, rozbijał stołki, tłukł garnki. Niby człowiek niespełna rozumu pobiegł na dziedziniec, skąd wrócił z wielkim drewnianym kłosem. Walił nim z ogromną siłą, aż wyłamał zawiasy. Wtedy odrzucił kłosek, wbiegł do izby i porwał dziecko z kołyski.

- Przekleństwo na moją głowę! - krzyczał.

Nikt nie odważył się go zatrzymać, kiedy wybiegł na podwórzec, dosiadł konia i odjechał jak szalony.

## Tajemnice Roksany

Ksiądz Franciszek Skóra przyszedł do Lipowej spocony, czerwony na twarzy. Zadyszany usiadł przy studni, z trudem łapiąc powietrze. Ktoś podał mu skopek z wodą, a duchowny zanim się napił, większość wylał na głowę.

- Co za pogoda! - westchnął. - Upały niby w lipcu, a to przecież połowa września i jesieni tylko patrzeć! Hedwiga, powiadomiona o nadejściu gościa, wybiegła z dworu uśmiechnięta.

- Księżu Franciszku!

Duchowny podniósł się stękając, odgarnął mokre włosy z czoła.

- Witajcie, pani. Spieszyłem się, bo akurat byłem w Dębowcu...

Hedwiga załamała ręce. Znowu to samo. Ksiądz Franciszek ani myślał korzystać z ofiarowanego mu wierzchowca i najwyraźniej cały ten szmat drogi z Dębowca do Lipowej przebył pieszo. Zamierzała udzielić mu kolejnej reprimendy, kiedy ksiądz Franciszek wysapał:

- Spieszyłem się, bo chyba na panią Roksanę termin przyszedł. Dobrze, że trafili się zacni ludzie, co mnie podwieźli, bo chyba nie dałbym rady... Boję się nawet, że pani Roksana urodziła... wczoraj.

Porażona niefrasobliwością księdza, Hedwiga nie pytała o nic więcej i kazała służbie natychmiast osiodłać konia. Obiecała przecież pani Roksanie, że będzie przy niej w czas rozwiązania, więc od razu zaczęła szykować się do drogi. Przez niechęć księdza Franciszka do koni nie zdążyła do Dębowca na czas, a to mogło wyglądać na lekceważenie złożonej obietnicy oraz samej pani Roksany. Po ubiegłorocznym poronieniu Roksana bała się porodu, często mówiła o tym i jakby wcale nie słyszała uspokajających słów Hedwigi.

- Boję się - powtarzała. - Boję się, że nic z tego nie będzie. Śniło mi się, że dziecko urodzi się martwe albo kalekie. Jeśli to prawda, natychmiast się zabiję!

Hedwiga, choć i ona żywiła niegdyś podobne obawy, bardzo się pilnowała, żeby w obecności Roksany choćby słówkiem nie przyczynić się do pogłębienia jej lęku. Pani na Dębowcu zupełnie jak przy pierwszej ciąży zdarzyło się niespodziewane krwawienie i udany poród stał pod znakiem zapytania. Mało się to Hedwiga nasłuchiwała rozmaitych opowieści Kobiety zwykle rodziły wiele dzieci, niezależnie od stanu, ale prawdę mówiąc tylko co trzecie dożywało lat późniejszych. Roksana miała wprawdzie dobre warunki, dbała żeby się nie przemęczać, przestrzegała rozmaitych porad, ale nigdy nie wiadomo.



Hedwiga jechała więc do Dębowca pełna niepokoju, co nagle odżył mocno i nie mogła uwolnić się od złych myśli.

W duchu modliła się gorąco, żeby wszystko poszło jak najlepiej. Dobrze życzyła Roksanie, podobnie jak Ostowi, ale wiadomo, że pierwsze dziecko bywa ważną wróżbą. Jeśli za pierwszym razem wszystko jest normalnie i w porządku, nie ma kłopotów z kolejnymi porodami. Tutaj jednak za pierwszym razem nie ułożyło się dobrze.

Nie było dobrze i teraz. Ledwie Hedwiga wjechała na dziedziniec dworu w Dębowcu, już wiedziała, że nie jest w porządku. Niby nic szczególnego na to nie wskazywało, tylko służba patrzyła w ziemię i uciekała, zanim Hedwiga zdążyła zadać jakiegokolwiek pytanie.

Zdarzyło się zatem najgorsze. Serce zaczęło walić Hedwidze głośno, ale zacisnęła zęby i postanowiła niczego po sobie nie dać poznać, w duchu układając już słowa, jakimi będzie pocieszać Roksanę.

Pani na Dębowcu leżała w łóżu blada, wymizerowana, z jasnymi włosami zlepionymi potem, poskręcanyimi. Poród musiał być długi i bolesny.

- Spieszyłam się - powiedziała Hedwiga, wchodząc do izby. - Spieszyłam się, ale ksiądz Franciszek zawiadomił mnie późno. Mogliście wysłać umyślnego, ten pewnie byłby w Lipowej wczoraj, to i ja przyjechałabym wcześniej. Spieczona wargi Roksany ułożyły się w słaby uśmiech.

- Dziękuję wam, Hedwigo - szepnęła. W jej oczach był smutek.

- Nie martwcie się - pocieszyła Hedwiga, nakrywając dłonią rękę Roksany bezwładnie leżącą na pościeli. - Wiadomo, że bywa rozmaicie. Los niewieści nie jest do pozazdroszczenia, a wszystko, co możemy zrobić, to zacisnąć zęby i nie dać się przeciwnościom.

- Jesteście moją jedyną przyjaciółką.

Łzy pokazały się w oczach Roksany i rozplakała się bezgłośnie.

- Ciiicho, cicho - szepnęła Hedwiga. - Tak to już jest. Ale to przecież nic strasznego, choć tak to może dziś wygląda. Naprawdę nic strasznego. Jesteście przecież młodą, silną niewiastą i pewnie jeszcze nieraz będziecie rodzić. A każdy następny idzie łatwiej.

- Kiedy nawet nie bolało tak bardzo - przyznała się Roksana. - Tylko trwało to tak strasznie długo...

Hedwiga pocieszała Roksanę jak mogła. Tłumaczyła, pełna serdeczności i współczucia, że przecież życie jest przed nią, a dobry Bóg nie dopuści, żeby spadały na nią same nieszczęścia. Po okresie próby na pewno nadejdzie czas pomyślności, zdrowia, siły, dostatku i miłości. Przecież najważniejsze, że Oset ją miłuje i na pewno wszystko się między

nimi ułoży, nawet jeśli teraz jest zawiedziony i może ma do niej żal... W miarę jak Hedwiga mówiła, Roksana patrzyła na nią ze wzrastającym zdziwieniem.

- Wybaczcie - wyszeptała wreszcie. - Wybaczcie, ale chyba coś wam źle przekazano... Hedwiga zamilkła spłoszona.

- Dziecko wcale nie umarło - wyjaśniła Roksana. Hedwiga zaczerwieniła się i poczuła nagle wstyd, że swoje złe myśli z drogi wzięła za prawdę. Jej smutek natychmiast uleciał.

- Och! - zwołała z radością. - Bogu niech będą dzięki! Od razu poweselała. Dziecka nie było w izbie, więc pomyślała, że teraz zajmują się nim służebne.

- Gdzie jest? - zapytała tylko. - I czy to chłopiec?

- Chłopiec - potwierdziła Roksana i rozplakała się głośno. Hedwiga nie rozumiała tej nagłej żalości i pomyślała, że jest coś ważnego, o czym jeszcze nie wie.

- To czemu płaczecie? - zapytała. - Jakiż to powód do smutku, skoro dziecko urodziło się zdrowe i jest to syn? Oset chciał chłopca, ale przecież wie, że to nie on o tym stanowi i byłby też zadowolony, gdyby Bóg dał dziewczynkę.

- Sama chciałam dziewczynkę... - przyznała się Roksana. - Ale najgorsze jest to, że on wcale nie jest dla mnie dobry...

- Nie jest dobry? - zdziwiła się Hedwiga. - Co też mówicie, Roksano? Przecież miłuje was, wiem to na pewno. Wybaczcie, ale niewiele z tego pojmuję. Musicie opowiedzieć po kolei. A może wolicie poczekać i odpocząć. Roksana chciała jednak mówić natychmiast:

- Nie odchodźcie - poprosiła. - Nie odchodźcie. Muszę się komuś wyżalić i muszę kogoś zapytać o radę. A poza wami zupełnie nie mam kogo.

Płakała i urywanymi zdaniem opowiadała Hedwidze ostatnie wydarzenia w Dębowcu.

- Oset wcale mnie nie miłuje - zaczęła. - Byłam mu potrzebna po to tylko, żeby urodzić dziecko, żeby dać mu syna. Żeby mógł powiedzieć, że ma dziedzica, więc może teraz jechać gdzie chce i załatwiać swoje sprawy.

- Ależ miłuje - przekonywała Hedwiga. - Każdy to wie, że świata za wami nie widzi... Pani Roksana jęknęła.

- To wszystko nieprawda - chlipała. - On tylko tak udawał. Słyszałam i wcześniej, że lubił zadawać się z dziewczkami czeladnymi i miał miłośnicę, do której jeździł. Po prawdzie wtedy mi to nie przeszkadzało, bo myślałam, że po ślubie przestanie. Ale nie przestał. Zapytajcie kogo chcecie, a sama zobaczycie, jak za nim patrzają, choćby i tutaj, pod moim okiem. Kiedy mu to wyrzucałam, odpowiedział wprost, że to nie moja sprawa. Powiedziałam, że to się musi skończyć, gdy urodzę. Obiecał, że tak będzie. Ale się nagle rozmyślił. Już

zaczęłam rodzić, kiedy przyszedł nagle i powiedział, że jeśli to będzie syn, odbierze mi dziecko.

- Co takiego? - zdziwiła się Hedwiga. - To chyba niemożliwe. Oset miałby tak postąpić? I dlaczego?

- Nie wiem, dlaczego. Przyszedł, o tu stanął i powiedział, że syna mi odbierze natychmiast po porodzie, a mnie... a mnie przegoni...

Hedwiga skamieniała.

- Nie - odezwała się dopiero po chwili. - To w ogóle nie jest możliwe. Ani Oset, ani żaden ojciec nie mógłby tak postąpić. Czemu miałby zabierać dziecko, na którym mu tak zależało.

- Zależało mu tylko na dziecku - smutno wyjaśniła Roksana. - Płakałam, błagałam, bo właśnie rodzić mi przyszło, a on tak mówi. Pytałam, co się stało, czemu tak postępuje, zaklinałam. A on na to, że postępuje jak mu się podoba, a mnie nic do tego.

Hedwiga siedziała niczym kamień. Oset. Ten wesoły, dobrotliwy Oset ukrywał w sobie tak straszliwe zwierzę? Nie mogła wprost uwierzyć.

- Na szczęście poród się przedłużał - ciągnęła Roksana. - On czekał na rozwiązanie, klął, krzyczał i tłukł sprzęty... I wcale nie zwracał uwagi na mnie i na to, co się ze mną dzieje. W końcu nie doczekawszy się, pojechał gdzieś, najpewniej do gospody. Wychodząc zapowiedział, że żadnego sprzeciwu nie zniesie, że muszę się mu podporządkować. Wybieraj, powiedział, wybieraj, co wolisz. Albo oddasz mi dziecko po dobrej woli, albo przepędzę cię, a syna i tak odbiorę. Co miałam robić? Co miałam robić, będąc tutaj sama wobec służby, która za mną nie przepada? Posłałam po was, ale niefortunnie wybrałam lichego posłańca, co nie dotarł na czas. Na szczęście nabrałam nagle nieco sił i sama podjęłam obronę. Bo jakże tak, pomyślałam. On mnie nie może wygonić w świat. To przecież i mój dom, nie może mnie ot tak wypędzić. I jakże oddać dziecko? W złości rzuciłam mu, żeby jechał, gdzie ma jechać, skoro nie chce swojego syna powierzyć przyrodzonej opiece. Powiedział, że już postanowił i nic nie zamierza zmieniać. Kazał mi się wynosić. Zaraz po porodzie mam się wynieść i żeby śladu po mnie nie było, tak powiedział. Żeby śladu nie zostało. Był bardzo wzburzony, zły, jakby jakiś zły duch nagle w niego wstąpił... Pani Roksana przerwała na chwilę, popłakała trochę, a potem gestem ręki wskazała skrzynię, stojącą w kącie izby.

- To mój paniński kufer - wyjaśniła. - Prawda, że kiedy mnie Lutek brał, niewiele w nim było. Ale z czasem i tu znalazły się moje najcenniejsze rzeczy... Wszystko zmarnował.

Najbardziej zaś żał mi tych pamiątek, co to miałam po rodzicach jeszcze...

Hedwiga wstała z miejsca i podeszła do skrzyni. Kufer już wcześniej zwrócił jej

uwagę, bo wydawał się dziwny, zabrudzony jakiś, wcale nie przypominał tego, co Hedwiga pamiętała z poprzedniej wizyty w Dębowcu. Pani Roksana dbała o czystość i ład we dworze, była we wszystkim staranna, dokładna.

Hedwiga odemknęła wieko. Buchnął w nią swąd spalenizny. Kufer był w środku wypalony do cna, na jego ścianach wisiała gruba na palec warstwa sadzy, na dnie znajdowała się tylko kupka popiołu.

- Spalił go - wyjaśniła Roksana. - Po prostu wrzucił tu pochodnię i poszedł.

Hedwiga zamknęła kufer i wróciła do połoźnicy. Pani Roksana leżała w łożu z zaciśniętymi pięściami.

- Musiałam się bronić - tłumaczyła się gorączkowym szeptem. - To już przepełniło czarę goryczy. Kiedy pojechał do gospody, żeby tam pić i namyślać się, jak mnie pozbawić wszystkiego, przysięgłam się bronić.

- Słusznie - przytaknęła Hedwiga. - Skoro tak, to słusznie. Nikt nie ma prawa postępować w sposób tak haniebnny.

- Powrócił dopiero na wieczór, pijany, straszny. Bałam się, że mnie ubije. Uderzył pięścią, sklął służbę, a potem pojechał jak szalony, mówiąc, że nigdy nie wróci. Pani Hedwigo, co ja takiego uczyniłam? Co uczyniłam? Hedwiga z Lipowej uściśnęła obie dłonie leżącej.

- Nie bójcie się - powiedziała z mocą. - O nic się nie bójcie. Nie odważy się. Przy mnie nie odważy się was ukrzywdzić.

Roksana chwyciła nagle rękę Hedwigi i przycisnęła ją do ust - Pomóżcie mi - poprosiła. - Pomóżcie, bo inaczej ani mi żyć ani umrzeć!

Hedwiga cofnęła dłoń. Widziała, jak rozgorączkowana jest połoźnica i obawiała się, że może to jej zaszkodzić.

- Pomóżcie - powtórzyła Roksana. - Wiedziałam, że najbardziej zależy mi na dziecku. Że dla niego gotów zrobić wszystko. Ale czy ja nie mam żadnego prawa do mojego synka? Rozplakała się głośno.

- Jestem taka nieszczęśliwa! Taka nieszczęśliwa i grzeszna, ale to on zmusił mnie, żebym była nieposłuszna, bo mnie zawiódł i oszukał. Kiedy wrócił z gospody, pijany i straszny, chłopaczka mojego przy nim nie było. Ukrył go, schował, a może nawet, może nawet go...

Serce Hedwigi drżało z trwogi. Jak wiele strasznych chwil przeżyła pani Roksana! I to w dodatku z ręki kogoś, po kim czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała. Oczekiwała od niego miłości, pomocy, obrony i opieki. Nie napaści, obelżywych słów, pogroźek i bicia.

- Pomogę wam - obiecała Hedwiga.

Kazała raz jeszcze wszystko sobie opowiedzieć, żeby się lepiej zastanowić i poszukać rady. I postanowiła zająć się wszystkim, bo Roksana była zbyt słaba na cokolwiek.

- Czemu chciał was przepędzić? - zastanawiała się głośno. - Tego zupełnie nie rozumiem.

- Tak mówił. Wiem, że coś uczyniłam źle - płakała Roksana. - Ale nie wiem co. I nie wiem, czy mojemu maleństwu nie stała się jaka krzywda...

Hedwiga wzdygała się na możliwość tak niegodziwego postępowania.

- Nie bójcie się - uspokajała Hedwiga. - Komuś przecież musicie zaufać, a obiecałam, że wam pomogę. Dziwno mi wprawdzie, że Oset, którego wydawało mi się, znam dobrze, tak postępuje, ale szatan potrafi tego zamieszać ludziom w głowach...

Pani Roksana rozpacziała.

- Jakże mi się teraz między ludźmi pokazać? Do tej pory nie bardzo mnie lubili, teraz zaś będzie dużo gorzej. Obgadają mnie, obśmieją, odsądzą od czci i wiary. Tylko mi do rzeki skoczyć...

- Milcz! - nakazała surowo Hedwiga. - Nie godzi się tak mówić. To może niełatwa sprawa, ale z każdej jest jakieś wyjście.

I z tej też takie wyjście znajdę. To znaczy obie znajdziemy.

- Jesteście moją jedyną przyjaciółką - pochlipywała Roksana.

Hedwiga nie wypytywała dalej, wyszła z izby, dając położnicy odpocząć. Rozpytała służbę, upewniając się, że słowa Roksany nie były czczym wymysłem.

- Pan był bardzo zagniewany - mówiła czeladź.

- Krzyczał.

- Groził.

- Tłukł, co mu w rękę wpadło.

- Potem wziął konia i pojechał jak szalony jaki.

Hedwiga słuchała uważnie, kiwała głową ze współczuciem nad losem pani Roksany. Najwięcej dowiedziała się od Chaszczka, który był w Dębowcu kimś w rodzaju przełożonego stajennych.

- Pan zanim pojechał, dał komu jakie polecenie? - zapytała.

- Polecenie? Nie, nic zupełnie nie gadał. Poszedł do pani, a jak wyszedł, od razu poleciał do konia i tyle go widzieli.

- A co krzyczał?

- No, straszne rzeczy... Aż powtórzyć strach. Że... że panią ubije.

- I groził, że podpali dwór?

- Pewnie i groził, bo okrutnie krzyczał, wyzywał panią od najgorszych. I jeszcze powiedział, że póki ona tu będzie, jego noga w domu nie postanie.

- A czemu był taki niezadowolony?

- Nie wiemy, pani. My się trzymaliśmy z daleka, bo jak się państwo kłóć, lepiej pod rękę im nie wchodzić.

- Mówił co o dziecku?

- Tego nie słyszałam.

- A był kto we dworze z obcych? Wtedy, gdy pani rodziła albo zaraz potem? Chaszc podrapał się po głowie.

- Z obcych?

- No, z takich, co tu nie mieszkają na co dzień. Ktoś, kto przyszedł czy przyjechał, a zaraz potem poszedł swoją drogą. Mężczyzna jaki albo niewiasta. Chaszc znowu podrapał się po głowie, a potem zaczął liczyć na palcach.

- Przed porodem to był chyba tylko jeden... ksiądz Franciszek. Potem, na drugi dzień, jak już pan pojechał... pani Anna, a potem wy...

Hedwiga od razu odgadła resztę. Oczywiście, to nie mógł być nikt inny. Tylko do pani Anny mógł pojechać zły lub rozzalony Oset Do pani Anny, która była powiernicą Roksany i jej dawną opiekunką, a bardzo życzliwie odnosiła się także do Osta.

- Pani Anna ze Staropola? - upewniła się.

- Pani Anna. A potem tylko wy.

Hedwiga zostawiła stajennego i pędem puściła się do izby, gdzie leżała Roksana. Ta przysnęła i Hedwiga musiała ją lekko potrząsnąć za ramię, żeby otworzyła oczy.

Wzdrygnęła się, zobaczywszy nad sobą pochyloną twarz pani z Lipowej, jakby jej nie rozpoznała. Ale po chwili wzrok jej oprzytomniał i uniosła się nieco na posłaniu.

- Dziecko - powiedziała Hedwiga gorączkowo. - Twój syn jest najpewniej w Staropolu.

- Co? - zdziwiła się Roksana. - Czemu w Staropolu? - Myślę, że Oset zawiózł go do pani Anny. Nie mógł przecież jeździć do gospody z oseskiem. Natychmiast pojedę do Staropola.

Zatrzymała się w progu.

- A imię? - zapytała. - Jak będzie miał na imię? Roksana zdawała się zaskoczona.

- Imię? Nie wiem, nie myślałam jeszcze... - Nieważne - machnęła ręką Hedwiga, gotowa już do drogi. - Zabiorę go stamtąd i może dowiem się, jakie szaleństwo wstąpiło w

Osta. A ty leż tutaj i nabieraj sił. Sama zajmę się wszystkim. I nie bój się, nawet gdyby Oset się tutaj pokazał, służba go do ciebie nie wpuści, póki na to nie pozwolę. A nie pozwolę, aż się przede mną nie wytłumaczy.

- Marcisz - odezwała się nagle Roksana. - Będę go nazywała Marcisz, po moim dziadku.

Poweselała, uśmiechnęła się nawet do Hedwigi. Pani z Lipowej była już gotowa do drogi, a tu rozpadało się nagle i Roksana bardzo się zatroskała o to, że jej opiekunka i przyjaciółka zmoknie i przemarznie.

- To nieważne - odpowiedziała Hedwiga. - Ważne, żebyś była bezpieczna. Reszta sama się ułoży.

Hedwiga zmagala się z deszczem i wiatrem na drodze do Staropola. Przed Roksana starała się tego nie okazywać, ale była bardzo zła na Osta, do głębi oburzona i wprost wściekła. Gdyby teraz stanął przed nią, rozerwałaby go na strzępy. Spodziewała się zastać go w Staropolu i obiecała sobie, że jak go tylko spotka, nie pożałuje razów, choć nigdy nie pozwalała sobie na coś takiego nawet w stosunku do służby.

Nie rozumiała zachowania Osta, nie wiedziała, co zaszło pomiędzy nim a żoną, dziwiła się, jak mógł tak bardzo zmienić się ten wesoły, łagodny Oset. Pomyślała przez chwilę, że musiało zdarzyć się coś okropnego i podejrzewała, że Roksana nie powiedziała jej wszystkiego. Pewnie było coś, co wyjawiała Ostowi, a co powinna zachować przy sobie. Bywa przecież, że niewiasty mają swoje małe tajemnice i wcale nie ma potrzeby zaraz o wszystkim mówić mężczyznom. Takie tłumaczenie wydawało się Hedwidze prawdopodobne, choć niepokoiło ją, że jeśli ma rację, to tajemnica Roksany wcale nie była taka znowu mała, skoro wywołała tak gwałtowne zachowanie jej męża.

- Nic nie rozumiem - pomyślała Hedwiga. - Ale już ja się tego dowiem! Bo cokolwiek by to było, nic nie usprawiedliwia takiego traktowania niewiasty!

Hedwiga miała rację, podejrzewając, że Roksana nie powiedziała jej wszystkiego. Ale myliła się, sądząc, że łatwo dowie się reszty. Cóż by jej bowiem przyszło z tego, że w tej chwili zamiast na drodze znalazłaby się w Dębowcu? Co zrozumiałaby z zachowania Roksany?

Oto bowiem krótko po wyjeździe Hedwigi pani Roksana podniosła się z posłania i podeszła do swojej skrzyni.

Otworzyła ją, zanurzyła ręce w jej wnętrzu.

- Widzisz - powiedziała, nie wiadomo do kogo adresując te słowa - widzisz, że jednak nie zostałam pokonana? Kiedy wyjęła dłonie, były czarne od sadzy.

- Szkoda mojego kufra - mruknęła półgłosem. - Ale to nic, niedługo każę zrobić nowy. Uśmiechając się, pani Roksana przyłożyła dłonie do twarzy i powoli zaczęła rozmazywać po niej sadzę.

- To nic - mówiła. - To wcale nie zmienia moich planów. Hedwiga, ta przemądrzała i łatwowierna Hedwiga sama przywiezie mojego synka. A potem zrobi to wszystko, o co ją poproszę. Bo jestem sprytna i mam cel w życiu. Tak będzie, jak sobie postanowiłam. Swój zamiar doprowadzę do końca. Do samego końca. Każdego, kto stanie mi na drodze, usunę podstępem albo siłą, bo nic, ani boskie ani diabelskie moce, nic na tym i na tamtym świecie, nie powstrzyma mnie, póki nie wypełnię swoich ślubów!

Hedwiga dojechała do Staropola już o zmroku, przemoczona do ostatniej nitki.

Przed dworem nie wyszedł jej nikt na spotkanie, zmarznięta, trzęsąca się w mokrym ubraniu, sama musiała uwiązać konia, choć drzwi dworu stały otworem i mieszkańcy musieli słyszeć, jak nadjeżdża.

We dworze paliło się światło. Nawet zadziwiająco dużo światła, jeśli wziąć pod uwagę sknerstwo pani Anny.

Dopiero w sieni Hedwiga napotkała służbę i już zamierzała skrzyczeć parobka za zaniechanie obowiązków, gdy nagle poczuła znowu ten sam mróz w krzyżu, jakiego doświadczyła niedawno, przyjeżdżając do Dębowca. Ale tu było jeszcze gorzej. Bo w Staropolu czuć było w powietrzu nie tylko chorobę i smutek, tutaj unosiło się w powietrzu nieszczęście.

Pani Anna leżała w swojej komorze, na prawo od sieni. W czarnej sukni, pozbawionej jakichkolwiek ozdób, wyglądała gorzej niż zwykle. Tym gorzej, że chude, suche dłonie trzymała zaplecione na piersiach. W dłoniach tkwiła zapalona gromnica.

- Umarła rano - wyjaśniła Czunka, zaufana służąca. - Przyjechała wczoraj wieczorem, późno i zaraz położyła się spać. Kazała mi przyjść rano, żebym rozczesła jej włosy. Poszłam po grzebień, a ona umarła.

- Był tu pan Oset? - zapytała Hedwiga.

- Był - potwierdziła służąca. - Wczoraj. Ale zaraz odjechał.

- Przywiózł dziecko? Służąca spojrzała zdziwiona.

- Dziecko, pani? Nic o tym nie wiem. Czyje dziecko? Hedwiga wzięła służebną na bok, by dokładnie ją wypytać, dowiedziała się jednak niewiele więcej.

- Nie wiem - tłumaczyła się Czunka. - Pan Oset był i pojechał. A zaraz potem pojechała pani Anna. Nie mówiła, dokąd się udaje i w jakiej sprawie. Wyjechała, a potem wróciła. Chciałam jechać z nią, bo nie czuła się najlepiej, ale zabroniła.



- Na pewno nie mówiła, dokąd jedzie?

- Na pewno, pani.

- Ani słowem?

- Zupełnie nie. Rzadko wyjeżdżała sama, bo przeważnie brała mnie ze sobą do posługi. Tylko gdy czasem jeździła sama, nic nie mówiła. Teraz też nie powiedziała.

- Miała co z sobą?

- Z sobą? - zdziwiła się służąca. - Co niby miała mieć?

- Zawiniątko dość spore albo...

Czunka popatrzyła na Hedwigę uważnie, a ta uciekła wzrokiem.

- Albo koszyk może - podpowiedziała Hedwiga. Czunka zastanowiła się.

- Zawiniątko? - zapytała. - Albo koszyk? Nie, nie widziałam.

- A może kto inny widział, jak wyjeżdżała i mógłby...

- Widzieli wszyscy - stwierdziła Czunka stanowczo. - I ja bym widziała, gdyby co zabierała ze sobą. Chyba, że...

- Chyba, że co? - niecierpliwiła się Hedwiga.

- Wzięła płaszcz - wyjaśniła niepewnie służąca. - Stary płaszcz, szeroki taki, co go nosiła dawno, kiedy nie była jeszcze taka sucha...

- Mogła pod nim coś ukryć?

- Czemu miałyby ukrywać? - dziwowała się Czunka. Hedwiga syknęła ze złością.

- Żebyś niczego nie widziała, głupia!

- No, mogła ukryć - przyznała służąca. - To bardzo obszerny płaszcz...

Hedwiga była przerażona. Pani Anna zabrała dziecko Roksany i gdzieś je wywiozła. Najpewniej zrobiła to na prośbę Osta. Ale dlaczego? Żeby ukryć przed Roksaną? Czemu przed nią ukryć? I dokąd został wywieziony mały Marcisz Roksany? Jak się tego dowiedzieć? Jak go rozpoznać teraz? Trzeba wrócić do Dębowca i zapytać Roksanę, czy rozpozna swoje dziecko. Na pewno rozpozna, bo pewnie dobrze je obejrzała. Gdyby potem przepytała wszystkich po wsiach, może dałoby się je odnaleźć. A jeśli Roksana nie będzie umiała poznać syna? Jeśli dziecko nie ma żadnego znaku?

- Mikołaju! - jęknęła Hedwiga. - Gdzie jesteś, Mikołaju? Czemu mnie zostawiłeś w tak trudnej chwili? Mimo późnej pory i zmęczenia porodem pani Roksana nie spała i czekała na powrót Hedwigi z wielką niecierpliwością.

- A mój Marcisz? - zapytała. - Przywiozłaś mojego synka? Chcę go zaraz zobaczyć i sprawdzić, czy nic mu się złego nie stało.

Patrzyła szeroko otwartymi oczami i nie odzywała się, gdy Hedwiga opowiadała jej o

drodze do Staropola i o tym, co tam zastała. Nie odzywała się, patrzyła jakby nie bardzo rozumiała, co znaczą wyjaśnienia zdenerwowanej i prawie szlochającej Hedwigi. Ale wreszcie to do niej dotarło.

- Zginęłam! - jęknęła i bezwładnie opadła na poduszki.

- Wody! - krzyknęła Hedwiga.

Pani Roksana straciła przytomność i mimo wysiłków Hedwigi nie powróciła do świadomości. Rzucała się na posłaniu, wymachiwała rękami, krzyczała lub nagle przechodziła w szept Wymieniała imiona i nazwy, pytała i oskarżała, mówiła rzeczy straszne i Hedwidze zimny pot wystąpił na czoło, kiedy zdała sobie sprawę, że objawy te mogą oznaczać szaleństwo. Bo Roksanie myliło się najwyraźniej to, co rzeczywiste, z tym, co słyszała z ust innych. Bez ładu i składu wykrzykiwała imiona osób znanych w Dolinie, dawno już nie żyjących lub takich, których nie mogła znać i nigdy nie spotkała.

- Bredzi - szepnęła Hedwiga, przerażona i zupełnie bezradna. - Wszystko się jej pomieszało.

Wiedziała, że czasem zdarza się to niewiastom bezpośrednio po porodzie i uznała, że ma właśnie do czynienia z takim przypadkiem.

Roksana wykrzykiwała imiona osób, które być może znała, o których słyszała od Hedwigi oraz tych, o których musiała słyszeć od innych. Nie wszystkie te imiona mówiły coś Hedwidze, ale większość była jej dobrze znana.

- Witajcie matko Floro - szeptała Roksana. - Jestem żoną Lutka. Czy pan Henryk też przyjechał z wami? Powinien już nadjechać, bo długo na niego czekałam. I pani Anna czekała. Napoju na pewno wystarczy, przygotowałam cały dzbanek. Wybaczcie, że chłopców tu nie ma, bo poszli szukać skarbów po jaskiniach.

Hedwiga robiła chorej zimne okłady na rozpaloną głowę i modliła się o radę.

- Co robić? - powtarzała głośno. - Co robić?

Nie wyglądało na to, żeby pani Roksana miała szybko odzyskać świadomość.

- Tak - śmiała się. - Chętnie wezmę tę sztukę zielonego muślinu, ale tylko jedną. Nie, nigdy nie byłam we Lwowie, w Łucku też nie byłam. Pojadę do Wizny, gdzie jest mój mąż. Który? Jak to który? Pan Henryk, oczywiście. Mówią, że umarł, nie, to nieprawda. Wiem, że to nieprawda. Nie bijcie mnie, matko Aniceto, to prawda. Przysięgam, że prawda. I posadzki tak pięknie pozmywałam. Przecież sama królowa Jadwiga tak powiedziała. Sama królowa!... Hedwiga zerwała się z miejsca, pobiegła do sieni i zaczęła zwoływać służbę.

- Wyszukować mi wóz - rozkazała. - Wymościć dobrze i zaprząć konie, tylko spokojne, nie narowiste. Ruszać się, niedojdy! Zabieram panią Roksanę do Lipowej.

Postanowiła o tym nagle. Rozstrzygnęła o wszystkim potrzeba zapewnienia opieki Roksanie, której przecież obiecała pomoc, nie mogła jej teraz zostawić w takim stanie. Nie mogła też tutaj zostać, bo pilno jej było do domu, gdzie czekali bliźniacy i codzienne liczne obowiązki. A może sprawiło to przypomnienie królowej Jadwigi...

- Boję się - szeptała suchymi wargami Roksana. - Boję się, że mój mąż wszystko wie. O dziecku, o włosach, o farbie. Nawet o tym sztylcie, który ukradłam w gospodzie.. Czy mi pomożecie? Pomóżcie, a dobrze wam zapłacę, bo mam taki piękny bursztynowy naszyjnik. Co, już go nie mam? Dałam go Zeltyne? Ech, nie, na pewno mam go w skrzyni. Leży koło jej ucha...

Hedwiga biegła za służbą, kierując odpowiednim przygotowaniem wozu, a następnie przenoszeniem chorej, owiniętej w skóry.

- Biedactwo - myślała. - Ale przecież - jest młoda i silna, może uda się jej pokonać chorobę. Tak wiele na nią spadło. Biedactwo. Mąż umarł, drugi okazał się niedobry jedno dziecko straciła, zaginęło drugie. I jeszcze umarła pani Anna, jej opiekunka i powiernica. Kto by wytrzymał tyle ciosów? Kto by wytrzymał!

Usiadła na wóz, obok powożącego pachółka, każąc mu jechać powoli i ostrożnie.

W domu, w Lipowej, będzie mogła poświęcić Roksanie więcej czasu. I poprosić teścia, może zgodziłby się podpowiedzieć jakieś lekarstwo. A dziecko na pewno się znajdzie. Nie wiadomo, jeszcze w jaki sposób, bo pani Anna ze Staropola nie zostawiła żadnego znaku, w jaką stronę je odwiozła i komu oddała. Ale na pewno się odnajdzie, bo przecież nie może tak być, żeby wszystkie nieszczęścia skupiały się na jednej osobie. Nie może tak być! Trzeba wyrzesać w sobie siły i stawić czoło przeciwnościom. Czasami Bóg zsyła bardzo trudne próby. Ale przecież i one się kończą.

Wokoło było ciemno i wilgotno po deszczu, więc gdy Hedwiga poczuła nagle, że ma mokre oczy, mogła udawać nawet przed sobą, że to nie są łzy.

- Mikołaju! - szepnęła. - Wiem, że dopiero niedawno wyjechałeś i nie wypada mi pytać, kiedy wreszcie wrócisz. Ale kto mnie pocieszy i przytuli w dzień tak straszny, jak dzisiaj? Kto mnie przytuli?

## Krzyżowcy

*Wrzesień 1396*

Nicopolis była przed nimi. Wielka twierdza na skale, a w, jej wnętrzu jakby dwa miasta, jedno nad drugim, białe domy pokryte czerwonymi dachówkami. Skala, wysokie mury, za którymi czaili się wytrawni strzelcy i miotacze.

Krzyżowcy nie mieli żadnych machin. Rozłożyli się więc szerokim obozem, rozrzutnie, daleko, odcinając wszelkie drogi i ścieżki, którymi mogłoby iść zaopatrzenia dla oblężonych. Ale nikt nie wiedział, jak wielkie zapasy zgromadzono w twierdzy i na jak długo wystarczą. Oni sami, choć dokonywali rekwizycji, choć weneckimi statkami nadal dowożono jado i paszę, nie byli w najlepszej sytuacji. Brakowało żywności, a za furazem pachołkowie musieli jeździć coraz dalej.

Pierwszego dnia dowódca oblężonej załogi, Dagon Bej, przysłał poselstwo, ale chrześcijańscy wodzowie odrzucili je ze wzdargą i kazali powiedzieć, żeby uciekał czym prędzej, jeśli nie chce natychmiast postradać życia.

Czekali pod murami, ufni w swoją siłę i opiekę boską. Tak ufni, że za bardzo nie przejmowali się wypełnianiem wojennych obowiązków. Dagon Bej prawie bez przeszkód wysyłał gońców do sułtana i sam odbierał wieści.

Oni tymczasem czekali, bo oblężenie wydawało się tu jedynym możliwym rozwiązaniem. Czekanie dłużyło się, więc nie zapominali o rozrywkach.

Od francuskich namiotów niosły się dźwięki muzyki, chóralne śpiewanie i pijackie okrzyki wesółych kompanów hrabiego de Nevers.

- Znowu to samo - warczał z niezadowoleniem Jan z Tymbarku.

Po całym obozie włączyli się pijani rycerze i żołnierze spod różnych znaków. Wielu z nich miało na sobie nie tylko kosztowności, które zdarto z pokonanych wcześniej Turków. Nosili przy pasach, na rękawach, na hełmach strzępy szat tureckich, tureckie buty albo drobne części ich oręża. Rzucając je w błoto i depcząc na miazgę, wzbudzali w sobie odwagę, a śmiech i radość w towarzyszach.

- Tak zrobimy ze wszystkimi Saracenami! - przechwalali się.

Od namiotów francuskich dał się słyszeć nagły pisk i wybiegło zza nich kilka niewiast, ściganych przez rozochoconych giermków. Stary Jan z Kamieniowej, który służył jeszcze królowi Kazimierzowi, splunął na ten widok z pogardą.

- Obrza boska! - powiedział do Mikołaja. - Nie tak bywało za moich młodych lat,

choć i my nie ślubowaliśmy życia w czystości. Jan z Tymbarku przysłonił twarz dłonią.

- Lękam się - szepnął. - Lękam się o ten spokój, co panuje wokoło. Nasze podjazdy donoszą, że ponoć sułtan osobiście wyruszył ze swojej stolicy na czele wielkiej armii. Nie próżno zwą go Błyskawicą, lada chwila tu będzie. Niektórzy rycerze polscy, węgierscy i inni, co stali daleko za głównym obozem, sarkali na niewygody wojskowego życia. Innym, co nigdy jeszcze nie byli w boju, zdawało się, że tak być powinno, a jeszcze inni, rozmaici maruderzy i poszukiwacze przygód, obnosili beztrosko swoje zadowolone oblicza, bo potrzebowali tylko zapachu krwi, wina i kobiet. Ci zaś, którzy z początku spodziewali się modlitewnego nastroju, mszy świętych, skupienia, po pierwszych rozczarowaniach na zawsze pozbyli się złudzeń.

- Każdy z nas jest już przecież z dawna rozgrzeszony - przypomniał pan Świętosław. - Dostaliśmy absolicję i czekać nas może tylko wieczna szczęśliwość w niebie. Go się tedy dziwić, że ludzie pragną trochę zabawy. Wy, panie Mikołaju, taką macie minę, jakbyście kiedyś mnichem woleli zostać, nie rycerzem.

- Prawda - przyznał pan z Lipowej. - I im dłużej tu jestem, tym bardziej żałuję, że zmieniłem zamiar.

Tymczasem sułtan turecki ruszył już ze stolicy w Edirne, zwanej do niedawna Adrianopolem, na czele trzydziestu tysięcy wojowników i szybkim marszem zmierzał na spotkanie nieprzyjaciela. Po drodze zbierał załogi z rozrzuconych garnizonów i jego armia rosła szybko. Nie byli to ludzie najlepiej wyekwipowani i uzbrojeni, ale niosła ich naprzód nie tylko wola sułtana, ale i potrzeba świętej wojny z chrześcijanami.

Podobnie jak inni dowódcy sułtan Bajazyt jechał konno, dzieląc ze wszystkimi trudy marszu niczym prosty żołnierz.

- Synu mojej siostry - zwrócił się do jadącego obok lekarza.. - Jeśli nadal będą potwierdzały się meldunki zwiadowców o chrześcijańskiej armii, nie będziemy mieli trudnego zadania. A dla zwiadowców przyjdzie mi chyba wymyślić jakąś nagrodę za dobre wieści, jakie przynoszą.

- Najlepszą nagrodą będzie dla nich świadomość, że dobrze ci się przysłużyli, wielki sułtanie - odpowiedział Misani al-Rifad. - Co zaś do armii chrześcijańskiej, jesteś zbyt wytrawnym wodzem, żeby ich lekceważyć. Genuieńscy, którzy dostarczają nam wiadomości, robią to z zawiści, bo zależy im na pogwałceniu Wenecjan. Szczęśliwy to dla nas zbieg okoliczności. Dzięki temu wiemy wszystko o ich pochodzie, obozach i planach. Ale nie jest wykluczone, że informują nas niedokładnie albo i rozmyślnie wprowadzają w błąd. Kiedy zaś dojdzie do walki, żelazo spotka się z żelazem i wygra silniejszy, sprawniejszy w polu. To

znaczy - poprawił się - zwycięstwo przypadnie tobie, wielki sultanie.

- Och, nie zamierzam ich wszystkich zabijać - łaskawie roześmiał się sultan. - Damy im tylko porządną nauczkę, żeby trzymali się swoich zamków i tych tam... jak ty to nazywasz?

- Kaszteli, wielki sultanie.

- I kaszteli. Niech wracają do swoich ziem i nie próbują przeszkadzać mi w zajmowaniu tego, co należy do Islamu.

- Oni chcą zająć Nicopolis.

- Tego im oddać nie mogę. Rzeczywiście, ich wodzowie nie są najmądrzejsi, skoro tak trzymają się twierdzy i tam zamierzają czekać na moje wojska. Damy im nauczkę, synu mojej siostry, i niech wracają do siebie. Moi dowódcy wiele sobie obiecują po wzięciu do niewoli chrześcijańskich książąt. Obiecałem im nie tylko łupy, ale i niewolników. Niech wyznaczają okupy jak najwyższe, bejowie lubią spać na drogich kamieniach i złocie, niechaj więc kosztowności te pochodzą ze skarbców chrześcijańskich książąt.

- I królów - przypomniał Misani. Wiem na pewno, że król węgierski Zygmunt... Bajazyt zatrzymał konia.

- Moim dowódcom obiecałem książąt i hrabiów. Króla Zygmunta chcę mieć dla siebie.

- Będzie, jak sobie życzysz, władco świata.

- Wojna ma swoje prawa, więc nie unikniemy rozlewu krwi. Ale chcę jak najwięcej żywych niewolników, szczególnie spośród ich najważniejszych panów i wodzów. Pamiętaj, synu mojej siostry, chcę ich żywych. Odwrócił się w lewo, gdzie jechał w milczeniu dowódca jego straży.

- Słyszałeś, Arsan? Chrześcijańskich dowódców chcę mieć żywych. Ponury Arsan pochylił głowę.

- Allah jest wielki. Będzie, jak sobie życzysz, władco świata.

Po kilku dniach nastroje w chrześcijańskim obozie otaczającym tureckie Nicopolis wyraźnie się poprawiły. Stary pan de Coucy, nie mogąc znieść niepewności i bezruchu, a pokłóciwszy się znowu z marszałkiem Boucicaudem i hrabią de Nevers - dla których miał być wojskowym doradcą i opiekunem, a był kimś, z kim zupełnie się nie liczyli - postanowił nie czekać dłużej i sam poszukać nieprzyjaciela.

O świcie stanął na czele silnego oddziału i ruszył na południe. Prowadził pół tysiąca kopii i tyłuż konnych łuczników. Jak przewidywał, rychło natknęli się na turecką jazdę. Kiedy mu tylko o tym doniesiono, stary wódz natychmiast postanowił zaatakować. Plan był prosty,

choć przemyślany i przyniósł bardzo dobry skutek.

Pan de Coucy wydzielił dwustu jeźdźców i posłał ich naprzód. Mieli iść odważnie, a napotkawszy Turków, zawrócić i udawać ucieczkę. Resztę ludzi rozstawił wzdłuż parowów, w dogodnej dla siebie okolicy, każąc czekać w ciszy i skupieniu.

Nie zawiódł się. Gdy tylko Turcy zobaczyli nadjeżdżających chrześcijan, natychmiast skoczyli w pogoń, w pędzie minęli przyczajonych zbrojnych pana de Coucy, zupełnie nie spodziewając się zasadzki. Wtedy padł sygnał do ataku.

Chrześcijańska konnica uderzyła z dwóch stron jednocześnie, gradem sypnęły się strzały na stłoczone szeregi. Zaskoczeni Turcy nie mieli dokąd uciekać, bo od czoła zagroździ im drogę ci, którzy niby umykali w popłochu. Kiedy pan de Coucy powrócił wieczorem jako zwycięzca, w chrześcijańskim obozie zapanowała euforia.

- To boży znak - powtarzano. - Znak, że nie ma już przeszkód przed nami.

Młodzi dowódcy wyprawy, zazdrośni o sukces pana de Coucy, chcieli natychmiast coś zrobić, żeby przewyższyć zasługi starego rycerza, ale jak zwykle nie mogli się między sobą porozumieć. Hrabia de Nevers tupał nogami i pomstował, bo z jego wyliczeń wynikało, że ledwie kilka setek Saracenów zostało do pokonania, więc jakże w takiej sytuacji dokonać bohaterskich czynów. Na szczęście było jeszcze kilka innych powodów do chwały, chociażby odbicie Konstantynopola i oswobodzenie Grobu Świętego.

Właśnie trębacze hrabiego Nevérsa dali sygnał do zebrania kolejnej rady wojennej. Jan z Tymbarku, którego także proszono jako przybocznego króla Zygmunta, obiecał dokładnie powtórzyć Mikołajowi, co będzie tam mówione. Czekali więc w kilku przed namiotem pana z Lipowej - Mikołaj, Jordan z Wojcieszowa, Świętosław Łada, Niemiec Gottfryd, który się pisał z Bad Kissingen, Wawrzyniec Buk z bratem Firlejem, a także kasztelan wyszogrodzki Sasin i jego syn, Roland.

Noc była pogodna, niebo bardzo gwiazdziste, łagodny, ciepły wiatr niósł przyjemne zapachy nieznanego ziela. Czasem tylko od strony niedalekiej twierdzy wzbijał się w górę radosny dźwięk bębnów i piszczałek, którym towarzyszyły okrzyki.

- Radują się, psubraty - warczał pan Świętosław. - Ale już niedługo tej ich pogańskiej radości!

- To tylko potwierdza, że wojska sułtana nadchodzą - zauważył Mikołaj. - Najwyraźniej do miasta doszły wiadomości o odsieczy. Obecni pokiwali głowami.

- Może tak być - zgodził się kasztelan Sasin. - Nasze podjazdy, co przyszły od Tyrnowa, słyszały o wielkiej armii. Ponoć może tu być już jutro.

- Jutro? - wykrzywił usta pan Świętosław. - Owszem, nazywają tego pogańskiego

diabła Błyskawicą, ale nawet on nie potrafi tak szybko maszerować. My na ten przykład...

- Nas do nich nie porównujcie - zauważył Mikołaj. - Oni nie ciągną ze sobą ani wozów, ani beczek z winem, ani niewiast. Oni mają tylko broń.

- Boże, miej nas w swojej opiece - westchnął Jordan z Wojcieszowa.

Pan Jan z Tymbarku wrócił z rady wojennej późno, pochmurny i rozdrażniony.

- I co? - pytano od ogniska, gdzie wszyscy czekali na jego powrót. - Jakie wieści?

- Niedobre. Nieprzyjaciel jest niedaleko.

- Niedobre? - zdziwił się Świętosław Łada. - Przecież dla walki tu przyszliśmy. Trzeba się cieszyć.

- Podjazdy twierdzą, że idący od Tyrnowa Saraceni to tylko przednia straż sułtana - tłumaczył Jan z Tymbarku. - Tymczasem nasi dowódcy uważają, że to już cała armia. I zamierzają pierwsi zaatakować.

- Słusznie! - gorączkował się Świętosław. - Trzeba atakować!

- Niedobrze - powtórzył Jan z Tymbarku. - Niedobrze, bo dalej nie ma zgody między panami dowódcami. Doszło do scen wprost gorszących. Miłościwemu królowi Zygmuntovi zarzucono tchórzostwo i chęć chronienia niewiernych.

- Tchórzostwo? - zdziwił się pan Jordan. - To niepodobna. Byliście przy tym?

- Byłem. Ponieważ sytuacja jest niejasna, miłościwy król Zygmunt przedstawił taki plan. Puścić przodem wołoską piechotę, niech w walce sprawdzą, kto na nich uderzy, z której strony i jakimi siłami. Ale prawie wszyscy panowie natychmiast się sprzeciwili. Konetabl Francji, hrabia d'Eu, poderwał się z miejsca i oświadczył dumnie, że on nigdy nie będzie chronił się za plecami służby i pacholków. Zapowiedział, że rozwali łeb każdemu, kto w ataku chciałby się przed niego wysunąć choćby o pół końskiej długości. Natychmiast poparł go marszałek Boucicaud i inni hrabiowie. Nawet pan de Coucy w końcu musiał uznać te racje, choć początkowo stał za królem.

- To chyba słuszne - wtrącił starosta Sasin. - Nie ma prawa byle ciura wyprzedzać nas do sławy i do zasługi przed Bogiem. Zaczęli roztrząsać przewagi wynikające ze szlacheckiej krwi, a tylko Mikołaj z Lipowej milczał.

- Cóż to? - zapytał Świętosław. - Wy znowu myślicie inaczej?

- Moim zdaniem rację ma król Zygmunt, - odpowiedział zapytany. - Bywałem ja w atakach, obleganiu i obronie. Każdy dobry dowódca wie, że łatwo w zapale bitewnym zapędzić się za głęboko w szyki nieprzyjacielskie, skąd potem trudno powrócić. Póki nie wiadomo, ilu przed nami i jak zbrojni, lepiej zachować ostrożność. Niektórzy przyklasnęli jego słowom, ale większość była odmiennego zdania.



- To nie walka wedle dobrych rycerskich obyczajów - upierał się Świętosław Łada. - A przeciwnik to tylko poganie, co nie mają pojęcia o waleczności naszego rycerstwa. Jan z Tymbarku gestem dał znak, że jeszcze nie skończył relacji.

- Król Zygmunt powiedział mniej więcej tak jak pan Mikołaj. Ale panowie nie chcieli go słuchać. Powiadali, że przyjechali tutaj się bić, a nie ukrywać. Postanowiono w końcu, że będzie tak, jak chce hrabia d'Eu. W pierwszych szeregach staną najznacniejsi rycerze, wedle ściśle określonego porządku. W tej sytuacji królowi Zygmuntowi przypadła rola tylnej straży. Miłościwy pan moimi ustami prosi was, panowie, byście zechcieli zostać przy nim, jeśli łaska.

## Bitwa

*25 września 1396*

Po nocnych naradach, zakończonych zwykłymi rozrywkami, obóz krzyżowców tego ranka obudził się późno. I było jak zwykle, jak od tygodni. Sennie, powoli, w zamieszaniu i bałaganie, z głowami ciężkimi od trunków rycerze wychodzili z namiotów.

Ale wieści o zbliżaniu się Turków nie budziły już teraz wątpliwości i nakazano trąbić wsiadanego. W rozgardiaszu, potykając się, mieszając i wzajemnie na siebie pokrzykując, wszyscy naraz ruszyli na swoje miejsca, a dowódcy, drąc gardła do chryпки, wzięli się do ustawiania chorągwi na polu.

Stary pan de Coucy próbował powstrzymać natychmiastową gotowość, bo nadal upierał się, że zauważone oddziały to tylko przednia straż wojsk sułtańskich i rycerstwo stojące w pełnym rynsztunku zmęczy się przed czasem, ale inni dowódcy, zazdrośni o jego sławę i dotychczasowe zasługi, parli do natychmiastowego boju.

Stały więc długie linie rycerzy, błyszczące od zbroi, ostrzy i pióropuszy. W centrum, wysunięte nieco naprzód oddziały hrabiego Neversa i on sam, który miał być głównodowodzącym w nadchodzącej bitwie. Otaczało go trzystu jego najbliższych kompanów w zielonych strojach, młodych, spragnionych walki, łupów i sławy. Powiewała nad nimi największa z chrześcijańskich chorągwi, z herbem Burgundii, a z wizerunkiem Najświętszej Maryi Panny po drugiej stronie.

Nieco z tyłu, bokiem do Francuzów, został król węgierski Zygmunt ze swoimi. Ten w pierwszej linii kazał ustawić lekkie pułki wołoskie i rumelskie, słabo uzbrojone i nie cieszące się jego pełnym zaufaniem. Dopiero za nimi stanęli rycerze węgierscy, Niemcy i ochotnicy z innych krajów. Wielu nie miało ani tak dobrych koni, ani tak mocnych zbroi jak jazda francuska, ale nikomu nie brakowało odwagi ani ochoty do starcia.

Stali w dwa szeregi, uformowani w płot, za plecami mając giermków, którzy dzierżyli kopie, żeby je podać na znak. Na prawo od Polaków uformowali się Krzyżacy, a jeszcze bliżej króla oddział Szpitalników z Rodos, z wielkim mistrzem ich rycerskiego zakonu, panem Filibertem z Naillac.

- W imię Boże - powiedział pan Świętosław Łada, stojący po prawej stronie Mikołaja z Lipowej.

- Niech nas ochroni Najświętsza Panna z Jasnej Góry i da nam zwycięstwo - zawtórował Mikołaj.

Po jego lewej ręce, za Jordanem z Wojcieszowa i Gottfrydem z Bad Kissingen stał starosta Sasin z synem. Młody Roland kręcił się niespokojnie w siodle, unosił się na nim i z napięciem wpatrywał przed siebie, ku błyszczącym liniom francuskim.

- Co tak dziwnie pachnie? - zapytał nagle, pociągając nosem - To krew - odpowiedział pan Jordan. - Krew tak pachnie. Na razie tylko pogańska, ale poczujesz dzisiaj i zapach chrześcijańskiej.

Mikołaj, który słyszał tę rozmowę, wzdrygnął się z odrazą. Tuż za ich plecami, ledwie o dwieście kroków, leżały stosy tureckich trupów. Ostatniej nocy, spodziewając się rychło rozstrzygającej bitwy, dowódcy wyprawy kazali wyciąć wszystkich jeńców wziętych pod Oriachowem. Tysiąc głów poleciało na ziemię, bo panowie nie chcieli już za nie okupu. Okupu spodziewali się teraz po wziętym do niewoli Bajazycie, jego dowódcach i wszystkich ważniejszych agach, bejach i wojownikach sułtana.

- Żeby wreszcie zaczęli! - niecierpliwił się młody pan Roland, a po chwili zawołał: - Ruszyli!

Ale i inni dostrzegli, jak stojące w oddali szeregi francuskie zafalowały, podniósł się od ich strony krzyk i walenie żelazami po tarczach. Nieprzyjaciel musiał być blisko.

Czekali.

Turcy wyszli naprzeciw. Pojawili się nagle na grzbiecie niewielkiego pagórka, na wprost linii francuskich i burgundzkich. Nie stanęli na widok przeszkody, a może się jej spodziewali, bo nie zatrzymując się, zaczęli schodzić w milczeniu, liczni, kolorowi i błyszczący od grotów i ostrzy.

Ale już rozpędzała się francuska kawaleria, już runęła na szeregi pogan i w oka mgnieniu zmiotła je z pola niczym pajęczynę.

Wśród chrześcijan rozległ się krzyk radości i zwycięstwa. Pole było wolne od nieprzyjaciół.

Pan de Coucy chciał poczekać, aż dołączy król Zygmunt, po którego teraz posłano, na jego oddziały Niemców, Węgrów i ochotników, przegrupować się, rozpoznać teren i dopiero wtedy iść dalej. Ale dowódcy, upojeni łatwym pierwszym sukcesem, nie zamierzali dzielić się sławą. Zwycięstwo wydawało się im tak wielkie, że nie podejrzewali, by zostało jeszcze wiele do roboty. Jeśli na pagórku byli jeszcze jacy Turcy, to zapewne niewielu i należało jak najszybciej zabić ich wszystkich.

- Naprzód! - zawołał hrabia de Nevers. - W imię Najświętszej Panny!

- Naprzód! - odpowiedział hrabia d'Eu.

- Naprzód! - zawtórował marszałek Boucicaut.

Nie bacząc zatem na zmęczenie, na straty i zamieszanie we własnych szeregach, krzyżowcy parli dalej, do przodu, do przodu. Wielu już pieszo, bo u szczytu pagórka czekały na nich wbite w ziemię, zaostrzone pale, gdzie jedni tracili konie, a niektórzy życie. Wielu odrzuciło strzaskane kopie, a tylko z mieczami w dłoniach wbiegało na pagórek. Szli zaś jak żniwiarze, od niechcienia tylko machając żelazem pomiędzy rzadkimi już szeregami niewiernych, waląc korbaczami, toporami, buławami, wbijając miecze i sztylety. Szczyt był tuż tuż.

Kiedy się tam dostali, zobaczyli, że wcale nie przeszli morza, bo morze było dopiero przed nimi. Na pagórku, w miejscu z linii chrześcijańskich niewidocznym, stały nowe oddziały tureckiej piechoty, a gdzieś z oddali zbliżała się nieprzebrana chmara jeźdźców.

Teraz to Turcy runęli falą, która nakryła chrześcijan, pochłaniając wielu, a innych odrzucając do tyłu, o krok, o dziesięć, o sto kroków.

Ale krzyżowcy nie uciekli. Odbijali, cięli, kłuli i tłukli z ogromną siłą. Zapachniało krwią. Mieszającą się krwią chrześcijan, muzułmanów, Bułgarów.

- Zginęli! - zawołał ktoś ze zgrozą w otoczeniu króla Zygmunta.

Lekkozbrojne hufce wołoskie i rumelskie, przygnane tu pod przymusem, zrozumiały, że bitwa jest przegrana, porzucały broń i czym prędzej umykały na boki, zostawiając sojuszników bez pomocy.

Ale już odezwały się bębny i stojący w środku linii król węgierski poprowadził na krwawe pole wszystkich, którzy byli przy nim, tę resztę chrześcijan, jaka jeszcze nie uczestniczyła w boju.

- Panie - Mikołaj z Lipowej odwrócił się do Świętosława. - Przysięgnijcie, że jeśli padnę, a wy przeżyjecie, udacie się do mojej żony i opowiecie jej, jak się to stało.

Świętosław Łada brał właśnie kopię od giermka, więc przeżegnał się lewą ręką.

- Przysięgam. A was proszę o to 'samo.

- Przysięgam - odpowiedział Mikołaj. - Bóg nam pomagaj! Szczęknięły zamykane żelazne kratownice i zasłony hełmów, pochyliły się kopie, konie nabierały rozpędu.

Mimo znacznej przewagi Turków i wygodniejszej dla nich pozycji, bitwa wcale nie była jeszcze wygrana, bo chrześcijanie odbijali się z wielką dzielnością. Dokonywali wprost cudów waleczności. Teraz dopiero widać było, że nie przesadzali ci, którzy wysławiali męstwo rycerzy i ich umiejętności w sztuce robienia bronią. Trzydziestoletni marszałek Boucicaut był niby heros i każdy, kto się z nim ścierał, musiał uwierzyć, że Boucicaut z łatwością walczył i zwyciężał w turniejach przez trzydzieści dni z rzędu. Ale teraz to nie był turniej, tylko walka na śmierć, więc nie podziwiał jeden drugiego, nie oszczędzał

przeciwnika, a bił, żeby zabić. Wszyscy pragnęli drogo sprzedać życie i stosy trupów, znaczone krzyżem albo półksiężycem, warstwami zaścielały trawiaste pole.

Walczyli dzielnie hrabiowie d'Eu i de Nevers, panowie Odard de Chasseron i Henryk de Bar, także stary a straszny pan Enguerrand de Coucy, którego miecz nie oszczędzał nikogo.

W to krwawe kłębowisko ciał runęły oddziały króla Zygmunta. Niemcy, Węgrzy, Polacy, panowie zakonni - Szpitalnicy i Krzyżacy - a ich dobrze wyćwiczone ostrza rzeźbiły okrutne szczyrby w szeregach tureckiej piechoty, twardej, odważnej i nieustępliwej.

Już walili ciężko, śmiertelnie, Mikołaj z Lipowej i Świętosław Łada. I stary Jan z Kamieniowej. I Tomasz Kalski herbu Poraj. I Jan z Tymbarku, co poprowadził szarżę na oddział okrutnych ghazi, najprzedniejszych wojsk sułtana. Już krwawił z dwunastu ran Gotard z Brzezin. Już padli kasztelan wyszogrodzki Sasin. I jego syn Roland. Bitwa trwała. Lała się krew strumieniami, trzaskało żelazo i kości. Ale chrześcijanie nie chcieli ustąpić i nie chcieli się poddać, więc oddawali życie za wiarę. - Chrystus! - wołali, zanim padli. Mikołajowi z Lipowej wydawało się, że ze swojego miejsca widzi samego sułtana Bajazyta. Bo daleko, za szeregami janczarów, gęstymi od długich mocnych pik, zobaczył nagle jeźdźca na białym koniu. Mały tęgi człowiek wskazywał coś obiema rękoma, a Mikołaj uznał, że to dowódcą Saracenów. Jeździec był daleko, tak daleko, że nie można było rozpoznać ludzi znacznie bliższych, a jednak Mikołaj wiedział na pewno, że zobaczył samego sułtana. Sułtan Bajazyt, niski człowiek w czerwonych butach, siedzący na złoconym siodle białego araba, sam dowodził bitwą.

- Janczarzy w lewo! Uderzać! Uderzać!

- Znaki! Najpierw zdobyć znaki niewiernych!

Trzeszczała już pękająca chrześcijańska potęga, kiedy natarła jazda serbskiego despoty Stefana. Tysiąc pięciuset jeźdźców, wypoczętych, dotąd nie użytych w boju, a spragnionych walki, wpadło śmiertelnymi zagonami w to wszystko, co było jeszcze krzyżową armią. Już zachwiała się wielka chorągiew burgundzka z wizerunkiem Najświętszej Panny, już tylko sam jeden pan de Vienne, francuski admirał, jej bronił. Ale i on skonał pod ciosami.

- Allah akbar! - wołali zwycięzcy. Bitwa była przegrana.

Już wygasaly ogniska oporu. Już spadły głowy najdzielniejszych chrześcijan, rycerzy, ochotników, zabijaków, poszukiwaczy przygód. Już skrwawiły się i zginęły zielone stroje rycerzy otaczających pana de Nevers. Ich niedobitki padały na kolana przed tureckimi dziesiętnikami i błagały niewiernych o zmiłowanie.

Bronili się jeszcze tylko Węgrzy i garść ochotników, ale wszędzie ustępowali pod

przewagą i choć bili się ze wszystkich sił, coraz bardziej spychano ich w kierunku rzeki. Ktoś, kto w pędzie potrafił Mikołaja z Lipowej, okazał się samym królem Zygmuntem, co w dwa tylko konie biegł wprost ku Dunajowi. Na brzegu stało bowiem kilka łodzi i żywi jeszcze chrześcijanie zobaczyli w nich ocalenie. Konni i piesi, ranni i zdrowi, rycerze i giermkowie, wszyscy rzucili się ku wodzie, mając tuż za plecami okrutnych wojowników tureckich.

Dosięgnął łodzi król Zygmunt, dosięgnął wielki mistrz Szpitalników, otoczeni przez grupkę wiernych sobie ludzi, osłaniających ich tarczami, bo nagle sypnęły się gęsto na uciekających krótkie saraceńskie strzały.

Łodzie odpłynęły, ale rzeka mogła być zbawieniem i dla innych, więc nie zaprzestali ucieczki. Jedni ginęli ledwie o kilka kroków przed brzegiem, inni marli dopiero w wodzie.

Pod Świętosławem Ładą koń padł już w Dunaju. Ale Świętosław uwolnił się ze strzemion i skoczył w głębinę, w pełnej zbroi. Bitwa zamarła nagle, bo patrzyli, co się stanie wszyscy - i chrześcijanie, i Turcy.

Schował się w odmętach, ale wypłynął. I choć był zapięty w ciężkie żelazo, rozgarniał wodę ramionami i parł do przodu. Strzelcy dopiero teraz jakby się ocknęli, napięli łuki, ale wypuszczone strzały nie dosięgły płynącego, był już zbyt daleko.

- Ocalał! - nie mógł uwierzyć Mikołaj, który widział to zdarzenie.

Natychmiast inni rzucili się śladem Świętosława, ale padali dziesiątkami, ubici strzałami albo topili się, ubrani w żelazne kolczugi, w kaftany naszywane żelaznymi guzami lub płytami, w ciężkie buty i pasy.

Tymczasem poddawały się resztki głównej armii krzyżowców. Już nie walczone. Już tylko Turcy dobijali od niechcenia tych, którzy nie zamierzali się poddawać. Już padł Gottfryd von Bad Kissingen i Jan z Tymbarku, co skupił wokoło siebie po raz kolejny grupę jeźdźców i powiódł ich wprost na saraceńskie piki.

Już wiązano jeńców, po stroju, po zbroi, po koniu oceniając, czy warto takiego zachować dla chwały, dla okupu, dla zabawy. Ale Mikołaj z Lipowej i inni bili się nadal.

Jeszcze ich było dwudziestu.

Siekli wokoło, a choć miecze wyslizgiwały się im z rąk ubroczonych krwią, nie myśleli o poddaniu. Jeszcze ich było ośmiu.

Leżeli wokoło wojownicy sułtana, jeden na drugim, niczym wał wokół twierdzy. Tureccy dziesiątnicy, przerażeni widokiem takiego pogromu, wołali ku chrześcijanom, żeby zaprzestali rzezi i opuścili miecze. Jeszcze ich było dwóch.

Stali plecami do siebie, osłaniając się wzajemnie. Wysoki jasnówłosy rycerz bez hełmu i człowiek z końskim wędzidłem w ustach. Mikołaj z Lipowej. Albert von Neuburg.

## Czerwone pole

Pod wieczór sułtan Bajazyt, zwany Błyskawicą, tylko w towarzystwie przybocznej straży objeżdżał pobojuwisko.

Wojsko krzyczało z radości, wysławiało jego dzielność i jego szczęście, któremu najwyraźniej sprzyjał sam wielki miłosierny Allah.

Ale sułtan jechał milczący, bo choć zwycięstwo było całkowitej zupełne, ogromna była liczba zabitych i ciężko rannych synów Islamu. Przynajmniej tylu ich zginęło co żołnierzy przeciwnika, a liczbę zabitych chrześcijan szacowano na tysiące.

- Znajdźcie mi ciało króla Zygmunta - polecił władca.

Dowódca jego straży, Arsan, aż ochrypnął od okrzyków na cześć zwycięzcy i nawet łaskawie patrzył tego dnia na sułtańskiego faworyta. Misani al-Rifad jechał obok władcy, skupiony, rozglądając się uważnie. Patrzył na ciała leżące wokoło, wyprostowane bądź skręcone, pokryte krwią, w poszarpanym odzieniu, młode i stare, ubłocone i kolorowe, chrześcijańskie i muzułmańskie, a wszystkie poległe i martwe.

Jeśli rozpoznał kogoś, opowiadał sułtanowi, kim był rycerz lub wojownik, skąd pochodził, czy był znany, sławny i dzielny.

Pokazał sułtanowi burgundzką chorągiew z chrześcijańską Przenajświętszą Panną i leżące obok ciało starego admirała Jeana de Vienne, wysławiając jego męstwo, a także objaśnił inne chorągwie i znaki.

Po jakimś czasie nadeszły do sułtańskiego orszaku wiadomości o losie króla węgierskiego Zygmunta.

- Gdzie ciało? - ożywił się Bajazyt. - Chcę je zobaczyć.

- Nie ma ciała, wielki sułtanie - wyjaśnił lekarz. - Uciekł łodzią na drugą stronę Dunaju z resztkami swoich wiernych rycerzy.

- To tak pilnowaliście, nieudolni?! - grzmiał sułtan.

- Słabo pilnowaliśmy. Ale król Zygmunt ukrył się i opuścił szeregi jeszcze przed końcem walki. Dzielnych ludzi miał z sobą i dlatego mu się udało. Jeden z nich przepłynął rzekę, choć był w pełnej zbroi. Trudno w to uwierzyć, władco świata, ale widziałem to na własne oczy.

Bajazyt zmarszczył brwi.

- Tylu prawowiernych muzułmanów poległo na tym polu, a ty chwalisz wroga, synu mojej siostry? - zapytał cierpko. Al-Rifad nie zmieszał się pod uważnym spojrzeniem władcy.

- Kiedy wychwalam męstwo wroga, powiększam twoje zwycięstwo, wielki sułtanie. Król Zygmunt umknął wprawdzie, ale w twoje ręce dostali się wszyscy dowódcy armii krzyżowej i najślawniejsi rycerze chrześcijaństwa. W połowie stoku łagodnego pagórka, schodzącego ku Dunajowi, bardzo już blisko rzeki, sułtan Bajazyt zatrzymał konia.

Pod jego nogami leżeli na ziemi dwaj chrześcijańscy wojownicy. Na plecach człowiek w skórzanym kaftanie, trzymający w zaciśniętej garści wielki topór na długim trzonku. Obok, twarzą do ziemi, jasnowłosy człowiek bez hełmu. Wokół piętrzyła się barykada trupów. Wyglądało na to, że obaj wojownicy stawali tu przeciw licznym nieprzyjaciołom długi czas i bardzo długo nie pozwalali się zbliżyć do siebie tureckim żołnierzom. A kto się zbliżył, ten padał od miecza albo od topora. Bajazyt wyciągnął palec.

- Kto to? - zapytał. - Czemu ma w ustach wędzidło niczym koń?

Misani al-Rifad zeskoczył z siodła i podszedł do leżącego. Pochylił się nad nim, a potem gestem pokazał stosy zabitych wokół.

- To tylko dzielny człowiek - wyjaśnił. - Ale wygląda zwyczajnie, wielki sułtanie, to zapewne nikt ważny.

- Domyślam się - zgodził się Bajazyt. - Ale chciałbym się dowiedzieć, kim był i czemu nosił to żelazo w taki sposób. Al-Rifad bezradnie rozłożył ręce.

- On nie może odpowiedzieć, władco świata.

- A ten drugi? Walczyli tu razem, zatem pewnie wiedział coś o swoim towarzysz.

Lekarz pochylił się nad drugim z leżących, obrócił ku światłu jego zakrwawioną twarz, dotknął szyi końcami palców.

- Żyje - powiedział po chwili.

- Zadbaj o niego - nakazał sułtan. - Może będzie wiedział coś o tym pierwszym, skoro walczyli tu razem i obaj napsuli nam tak wielu ludzi.

Misani skłonił się z szacunkiem, pomiędzy palcami rozcierając krew, którą ubrudził się, dotykając twarzy chrześcijanina.

- To szlachcic - wyjaśnił. - Podkowy to jego znak Ale nie wiem, kto to jest, wielki sułtanie. Jeśli taka jest twoją wola, każę go zabrać z pola. Może Allah zachowa go przy życiu.

- Postaraj się, synu mojej siostry - polecił Bajazyt. - Bardzo chciałbym dowiedzieć się, kim byli ci dzielni wojownicy. Sułtan kazał podzielić łupy uzyskane w zdobytym obozie chrześcijańskim pomiędzy wszystkie walczące W bitwie oddziały. Pozwolił też, żeby zdarto złoczone szaty z zachodnich rycerzy, żeby odebrano poległym ich konie, broń i wszystkie cenne przedmioty, jakie posiadali, butów nie wyłączając. Nawet wielkim panom chrześcijańskim, których wziął do niewoli i których zamierzał puścić dopiero za wysokim



okupem, nakazał odebrać wszystko, co mieli przy sobie wartościowego i wszystkich wziął na sznur z odkrytymi głowami niczym prostych parobków.

Polecił również, żeby starannie pozbierano z pola wszystkie chrześcijańskie znaki, które zamierzał rzucić na ulice Edirne, aby deptały po nich konie prawowiernych. Tylko chorągwie z wizerunkami kazał zachować.

- Chorągwie z wizerunkami? - zdumiał się Misani al-Rifad, któremu powierzono to zadanie. - Te, co wbrew świętemu Koranowi zawierają szatańskie malunki? Przecież nie wolno czynić takich wizerunków, bo one obrażają Boga.

- Zbierzesz je wszystkie - rozkazał Bajazyt - i umieścisz w Komnacie Mądrości. Tam zaś zamkniesz je, żeby nawet przypadkiem nie padło na nie oko prawowiernego muzułmanina. Jeśli jest moc jaka w tych znakach, jeśli mają, jak twierdziłeś, wybitne znaczenie, kiedyś chrześcijanie zechcą się o nie upomnieć. A w każdym razie będzie ich bolała ta strata. Takie są moje zamierzenia.

O zachodzie słońca sułtan Bajazyt modlił się, klęcząc na dywaniku rozłożonym przed namiotem i bijąc czołem w kierunku Mekki. Potem udał się na odpoczynek po całym długim dniu, który okazał się dniem wielkiego zwycięstwa i chwały.

Arsan, dowódca sułtańskiej straży, przekazywał mu właśnie, głosem ochrypłym od niedawnych radosnych okrzyków, wyniki spisywania jeńców. Wśród wziętych w niewolę znalazł się bowiem dostojny pan Jacques de Helley, sławny rycerz, niegdyś służący wielkiemu sułtanowi Muradowi, ojcu obecnego władcy. On pomógł Arsanowi i innym nie tylko spisać imiona tych wszystkich jeńców, którzy mogli zapłacić okup, ale określił też, ile mogą dać.

- To bogactwo, najwaleczniejszy przywódco wiernych - powtarzał Arsan. - Zdobyłeś wielkie bogactwo przez tych ludzi.

Sułtan rozkazał trzymać dostojnych jeńców oddzielnie, z reszty zaś część przeznaczył na niewolników dla swoich dowódców, a część polecił zesłać do kopalń i innych miejsc ciężkich robót.

Nagle dano władcy znać, że o pilne posłuchanie prosi Misani al-Rifad i zaraz potem on sam wbiegł do namiotu i padł na twarz przed Bajazytem, jakby nie widział, że sułtan zajęty jest rozmową z Arsanem.

Sułtan gestem uciszył dowódcę straży. Gwałtowne wejście lekarza było wydarzeniem niezwykłym, na taką bezczelność nie pozwolił sobie nikt i nigdy, więc Bajazyt był ciekaw, czym kierował się jego faworyt.

Misani jednym gestem rozdarł na piersi swoją piękną jedwabną szatę i rozkrzyżował

ramiona.

- Każ mi wyrwać mój plugawy język, władco świata - zawołał strasznym głosem. - Każ mi go wyrwać, bo w twojej obecności ośmieliłem się wypowiedzieć pochwałę męstwa giaurów, którzy niechaj będą przekłęci do siódmego pokolenia. Kłamałem niczym bezrozumny pies!

Sułtanowi zaczęła drgać prawa brew, zrozumiał, że medyk przynosi najgorsze z nowin. Poleciał mu niedawno odszukać miejsce, gdzie chrześcijanie trzymali jeńców wziętych po bitwie pod Oriachowem. Teraz domyślił się wszystkiego.

- Mów - rozkazał, z trudem przetykając ślinę w suchych nagle ustach.

- Znalazłem ich, wielki sułtanie - Misani nie odważył się spojrzeć na twarz władcy. - Twoich urzędników i twoich wojowników, wziętych do niewoli po poddaniu Oriachowa. Choć im król Zygmunt gwarantował bezpieczeństwo, chrześcijanie nie oszczędzili nikogo. Nikogo, władco świata. Ani jednego człowieka.

Bajazyt zerwał się z miejsca, stopami w czerwonych butach bił w ziemię.

- Na brodę Proroka! - krzyczał. - A ja chciałem być szlachetny wobec tych piekielnych giaurów! Ja chciałem być wspaniałomyślny! Przekleństwo na moją głowę!

Podbiegł do Arsana i zaczął okładać dowódcę straży pięściami.

- Zabij ich! - rozkazał. - Zabij ich wszystkich! Arsan odsłonił zęby w drapieżnym uśmiechu.

- Wszystkich, władco świata? - upewnił się. Bajazyt zatupał.

- Wszystkich, Arsan! Tylko najwyższych dowódców oszczędź, ale i ich wyprowadź na pole. Niech patrzą, jak będziesz ścinał parszywe chrześcijańskie łby! Niech patrzą!

Dowódca straży uklonił się i chciał się wycofać, ale zatrzymał się jeszcze w wejściu do namiotu.

- A rannych i chorych, sułtanie?

- Wszystkich, Arsan. Wszystkich!

Rankiem następnego dnia wyprowadzono na pole jeńców chrześcijańskich, tylko w koszulach, poobdzieranych z odzienia i klejnotów, bosych i z odkrytymi głowami.

Prowadzono ich powiązanych po trzech i czterech na miejsce kaźni, gdzie czekali też i ich niedawni dowódcy ze sznurami na rękach.

- Który zamknie oczy choć na chwilę, z rozkazu wielkiego sułtana sam zostanie natychmiast stracony - zapowiedział surowo Arsan.

Patrzyli więc hrabiowie d'Eu, de Nevers, de Coucy i wszyscy inni dostojni panowie, jak przystępują do krwawego zadania kaci sułtana i jak po ziemi toczą się głowy bezbronnych

krzyżowców.

Sam sułtan nie czekał do końca egzekucji. Zawrócił konia i odjechał ze swoim najbliższym orszakiem. Na polu został Arsan i jego siepacze.

Trzy tysiące dusz otrzymał chrześcijański Bóg tego dnia spod Nicopolis.

Bajazyt Błyskawica opuścił krwawe pole i długo jechał przed siebie. Nikt z towarzyszących mu dostojników nie odważył się przerwać jego chmurnego milczenia.

Dopiero pół mili dalej sułtan zwolnił i niespodziewanie przypomniawszy sobie dawną rozmowę, zapytał medyka:

- A człowiek z wędzidłem?

- Już się nim, jak innymi, zajęły kruki.

- A ten drugi, który był przy nim? Misani al-Rifad pobladł.

- Żyje, władco świata. Przyszedł po niego sam dostojny Arsan, ale zasłoniłem go twoim wcześniejszym rozkazem. Życzyłeś sobie dowiedzieć się więcej o tych dwóch i dlatego odmówiłem wydania tego giaura na śmierć. Jeśli jednak źle postąpiłem...

- Nie, synu mojej siostry - powiedział sułtan zmęczonym głosem. - Uczyniłeś bardzo dobrze. Ty wiesz najlepiej, że wcale nie zamierzałem przemienić tego pola w jezioro krwi. Dziękuję, że ocaliłeś choć tego jednego.

- Jest nieprzytomny, władco świata. Może jednak miłosierny Allah zechce przywrócić go życiu, żeby mógł zaspokoić twoją ciekawość.

## Nie pewne wieści

*Jesień 1396*

W Lipowej szykowano się już do Godów.

Po świętym Marcynie rozliczano się ze służbą, a na święta obdarowywano służbę podarunkami. Był to także czas honorowania krewnych i tego dnia Hedwiga przygotowywała upominki nie tylko dla swoich synów oraz pani Roksany, ale i dla przyrodnich siostr swojego męża Mikołaja.

Było ich trzy, urodziły się prawie rok po roku z różnych matek, wybranych niegdyś przez Ostasza spośród dziewczek służebnych w Lipowej. Była jeszcze jedna, ale zmarła niedługo po urodzeniu. Z trzech pozostałych jedna odeszła z matką nie wiadomo dokąd, dwie zostały w majątku. Teraz miały po około piętnaście lat, obie pracowały we dworze i obu obiecał niegdyś Mikołaj, że kiedy będą chciały wyjść za mąż, pomoże im w uskładaniu posagu. Obiecał tak, a Hedwiga nie sprzeciwiła się wcale, bo rzadko sprzeciwiała się pomysłom Mikołaja, który był człowiekiem gotowym każdemu służyć pomocą. Obietnice dopomożenia dziewczynom złożył sam, w żaden sposób nie przymuszany. Ich matki nie miały o nic pretensji, niczego się nie spodziewały, może także dlatego, że nie mogły narzekać na traktowanie w Lipowej, gdzie miały pełną miskę zapewnioną dożywotnio. I chyba tylko Hedwiga wiedziała, czemu Mikołaj jest taki wspaniałomyślny.

Mikołajowi ciężarem leżała na sercu wina, jakiej się dopuścił wobec ojca dziewczyn. To przecież on celnymi strzałami z kuszy strącił Ostasza z wieży w Lutowcu. Ostasz był jego wujem, synem jego dziadka Jakuba, przyrodnim bratem jego matki. Mikołaj odpokutował za ten czyn wedle kościelnych przykazań, choć zdaniem wielu niczego takiego robić nie musiał, bo Ostasz był złym człowiekiem i niegdyś powszechnie modlono się w Dolinie, żeby przydarzyło mu się nieszczęście.

Starszą, Nelkę, wydano za mąż do sąsiedniego majątku, młodsza Dochna nadal mieszkała w Lipowej. Była to dziewczyna jasnowłosa, dorodna, choć cicha i nieco nieśmiała. Uchodziła za pracowitą, kiedy nie było roboty w polu, sama przychodziła do dworu, gdzie prała, reperowała odzienie, pomagała w kuchni. Na każde Gody Hedwiga posyłała jej podarek, jak posyłała zamężnej już Nelce, a także własnej siostrze do Potoka oraz licznym innym osobom, bo dobre traktowanie krewnych, choćby i dalekich, należało do obowiązków.

Hedwiga wybrała dwa jednakowe płaty materii, ale jeden większy, bo ten był przeznaczony dla niezamężnej Dochny;

- Po cóż taka rozrzutność? - dziwiła się Roksana.

- To nie rozrzutność, lecz obowiązek - tłumaczyła Hedwiga. - Wprawdzie są plebejskiej krwi i każda od innej matki, ale to jakby rodzina.

Zdaniem Roksany nie było potrzeby honorować kogoś o tak wątpliwym pokrewieństwie. Przecież Ostasz był tylko przyrodnim wujem Mikołaja, więc dla jego żony dziewczyny te powinny być właściwie obce. Szczególnie, że plony tego roku były daleko gorsze od spodziewanych i dwór nie miał z czego płacić.

Pani Roksana zadomowiła się w Lipowej. Kiedy jesienią Hedwiga przywiozła ją do siebie, chciała przede wszystkim ochronić ją od gniewu Osta i złagodzić ból po stracie syna. Dziecko Roksany zaginęło bezpowrotnie. Pani Anna umarła, nie zdążywszy nikogo powiadomić, gdzie dała je pod opiekę. Hedwiga przepytowała wszystkich w okolicy, po dworach i siołach. Kamień w wodę.

Pani Roksana długo chorowała. Tygodniami leżała w łóżu, nie wychodziła na zewnątrz. Ale kiedyś przyjść musiał dzień, w którym wstanie, i taki dzień nadszedł.

Oset nie pojawił się i zatarł za sobą wszelkie ślady. Nie pojawił się ani w Dębowcu, ani nigdzie indziej w Dolinie. Od owej jesieni nikt go nie widział.

Z końcem zimy zaczęto uważać powszechnie, że Oset nie powróci prędko, skoro nie zjawił się do tej pory, a może i nie wróci wcale. Ludzie rozmaicie o tym gadali, bo nie wiadomo było, co naprawdę stało się przyczyną jego tak dziwnego zachowania.

Hedwiga także podejrzewała, że Oset nie wróci.

- Pojechał na koniec świata - powiedziała do Roksany. - Nieprędko przyjedzie. Kto wie, czy nie wybrał się na Litwę.

- Na Litwę? - zdumiała się Roksana. - Czemu na Litwę i co on ma tam do szukania?

Hedwiga uznała, że może jej objaśnić od dawna Żywione zamiary Osta.

- Wspominałam wam kiedyś o ślubowaniu, jakie złożył - przypomniała. - Wam może wcale o tym nie mówił, żebyście nie byli przeciwna jego planom. A słyszałam od męża, że ślubował to samemu królowi. Ale król życzył sobie, żeby Oset nie jechał wcześniej, jak tylko gdy będzie już miał potomka. Teraz ma Marcisza, a przypominam sobie, jak niedawno mówił, że bardzo już chciałby wypełnić przyrzeczenie dane królowi.

- Cóż to za sprawa? - marszczyła brwi Roksana. - I czemu nic mi o tym nie wspominał?

- Nie wiem tego na pewno - zastrzegła się Hedwiga. - Wiem tylko, że miał jechać, bo słyszałam przed jakimś czasem, jak z moim mężem omawiali drogę. Obaj bywali w tamtych stronach. Słyszałam, że planował przejechać Mazowsze i w Wiźnie przejść bród graniczny...

- W Wiźnie? - zaciekała się Roksana. - Na pewno dobrze słyszeliście? A gdzie jest ta Wizna?

- Wystarczająco daleko, żeby ochłonął, zanim wróci. Pytała Roksana o powody takiego zachowania jej męża, ale ta nie umiała albo nie chciała udzielić wyjaśnień.

- Nie wiem - powtarzała tylko. - Nie wiem, jaki diabeł go opętał. Nie zrobiłam przecież nic przeciw niemu.

Gdy poczuła się lepiej, Hedwiga chciała ją nawet zachęcić do powrotu do siebie, ale pani z Dębowca wcale nie miała na to ochoty.

- Jakże mi wracać? - pytała zafrasowana.

Była blada, wychudzona, mizerna, a jej uroda wyraźnie przygasła. Najchętniej leżała w łóżku albo siedziała milcząca, patrząc przed siebie.

Hedwiga nie nalegała, bo nie mogła uznać rozumowania Roksany za całkowicie pozbawione sensu.

- Oset kiedyś przecież wróci - mówiła. - Pojechał w gniewie, ale czas koi gniew. Pojechał, przemyśli wszystko i powróci. Wróci i upadnie ci do nóg, prosząc o wybaczenie. Roksana była innego zdania - Boję się - skłamała. - Czasem myślę, że byłoby lepiej, żeby nie wracał.

Tylko ona wiedziała, że Oset nie wróci. Sama wyprawiła męża na koniec świata. Była pewna, że nie wróci, póki myśli, że jego syn żyje. Nie wróci, póki nie wie, że dziecko zaginęło.

Hedwiga właściwie była zadowolona, że ma przy sobie przyjaciółkę.

Bo były przyjaciółkami. Jedna uczciwa i szczerza, druga skryta i umiejętnie udająca współczucie. Roksana z uwagą wysłuchiwała zwierzeń pani na Lipowej, pocieszała ją, wpływając na Hedwigę kojąco. To Roksana podtrzymywała w Hedwidze nadzieję na powrót Mikołaja. Martwiła się tylko, czy pan z Lipowej zgodzi się na jej obecność we dworze.

- Co powie pan Mikołaj, gdy mnie tu zastanie?

- Nic nie powie - odparła Hedwiga. - Będzie zadowolony, jak ja jestem zadowolona.

Święta Bożego Narodzenia nie zapowiadały się wesoło. Hedwidze bardzo brakowało Mikołaja i ten brak nie mógł być zrównoważony niczym innym. Kazała postawić na świątecznym stole przygotowane dla męża nakrycie, jeśliby miał wrócić niespodziewanie. Było to oczywiście nieprawdopodobne, ale Hedwiga uważała, że jest bliżej męża, gdy o nim myśli, a on jest wtedy bliżej jej i ich dzieci.

O wyprawie, w której uczestniczył Mikołaj, nic właściwie nie było wiadomo. W grudniu pojawiły się niewyraźne plotki mówiące, że wielka bitwa z Turkami zakończyła się

porażką chrześcijan.

Pierwszym, który przyniósł owe plotki był Żyd Natan. Myślał cały dzień, jak je przedstawić Hedwidze. Przyszedł do dworu, chrząkał, kluczył.

- To daleko niepewne wiadomości... - zaczął. - Może nie powinienem was niepokoić, szlachetna pani... Zakłopotany przestępował z nogi na nogę i nie podnosił oczu.

- Złe wieści - powiedział. - Złe wieści, pani Hedwiga uciszyła go gestem dłoni. Przed wyjazdem męża obiecała mu, że nie będzie ufać żadnym wieściom, a szczególnie plotkom.

- Znajdę sposób na powiadomienie ciebie - obiecał Mikołaj. - Czy będę żywy czy martwy, dowiesz się tego ode mnie.

Teraz Hedwiga nakazała Natanowi:

- Odejdź. Nie zamierzam tego słuchać.

Pod koniec grudnia straszne wiadomości potwierdził ksiądz Franciszek.

Hedwiga zastała go w kościele. Stał tam, poszarzały na twarzy, bez uśmiechu, zaciskał dłonie na złożonej kartce papieru. Drżał, w świątyni było bardzo zimno.

- Nie wiem, jak to mam wyrazić...

- Prosto - odpowiedziała Hedwiga.

- Ale kiedy;..

- Chcę wiedzieć. Zacisnęła usta.

Ksiądz Franciszek zaszeleścił trzymanym w ręku papierem.

- Może to nieprawda... - szepnął niepewnie.

Potem rozwinął list i wzrokiem przeczytał go znowu.

- Była wielka bitwa z wojskami sułtana - wyjąkał po chwili. - Na polach pod twierdzą Nicopolis. Saraceni, których przybyło sto albo więcej tysięcy, po długiej i krwawej walce całkowicie pokonali armię krzyżową. Piętnaście tysięcy dobrych chrześcijańskich rycerzy padło za wiarę. Saraceni wzięli trzy tysiące jeńców. A potem... z rozkazu sułtana Bajazyta... wszystkich... wszystkich...

Hedwiga gwałtownie wyciągnęła rękę, chwyciła list, zmięła go i rzuciła na posadzkę.

- To nieprawda - powiedziała spokojnym głosem. - Nie Mikołaj. Może wszyscy inni, ale nie Mikołaj.. Odwróciła się i szybko wyszła z kościoła.

Rządca Jacek towarzyszył swojej pani do spichrzów, gdzie sprawdzali stan zapasów. Wychodzili właśnie, kiedy nadbiegła pani Roksana, tylko w płaszczu narzuconym na domową suknię i z odkrytą głową.

- Czy to prawda? - wołała z daleka.

- Co ty wyprawiasz? - ofuknęła ją Hedwiga. - Na taki mróz bez futra i z gołą głową?

Znowu chcesz się pochorować? Roksana machnęła ręką lekceważąco. - To nic - mówiła zadyszana. - Wybiegłam, bo usłyszałam o wielkiej bitwie. Czy to prawda, że nikt nie ocalał?

- Była bitwa - potwierdziła Hedwiga. - Ale jak to w takich przypadkach bywa, długo jeszcze nie będziemy wiedzieli, co się zdarzyło naprawdę.

Pan Jacek odwrócił głowę. On sam był pełen najgorszych przeczuc, bo długie życie nauczyło go w pierwszej kolejności spodziewać się klęski i nieszczęścia. Roksana załamywała ręce.

- Ale mówią, że wszyscy zginęli! Hedwiga pokręciła głową.

- Nie Mikołaj - powiedziała z przekonaniem. - Mikołaj obiecał, że gdyby miał zginąć, będą tacy, co mnie powiadomią. Tacy, którzy to widzieli i będą mogli opowiedzieć, jak zginął. Bo muszę to wiedzieć. A nikt taki nie trafił do Lipowej.

Pani Roksana przysła jej na pomoc.

- Jak możecie tak straszyć Hedwigę, panie Jacku? Trzeba poczekać na dokładne i pewne wieści. I chodźmy wreszcie do izby, bo wszyscy się rozchorujemy od tego mrozu!

Bliźniacy stali obok siebie, a usta obu układały się do płaczu. Pierwszy, jak zwykle, odważył się zapytać Marcin.

- Czy będziemy sierotami?

- Nie - zaprzeczyła Hedwiga.

- Ale wszyscy mówią, że pogański sułtan...

- Niech sobie mówią, a wy mnie macie słuchać. Ja zaś mówię, że wasz ojciec powróci cały i zdrowy. W plotki zakazał wierzyć.



## Krawiec królowej

*Styczeń 1397*

Satyna była czarna, połyskująca w świetle. Bełę tego materiału dwaj pomocnicy rozwijali właśnie w warsztacie krawieckim przy krakowskiej ulicy świętej Anny. Przynieśli ze składu na tyłach sklepu, gdzie leżała zawinięta dobrze w płótno, żeby nie zakurzyła się, nie doznała jakiej szkody. Teraz wydobyli ją z płóciennego worka, położyli na stół i rozwinęli na blacie.

- Będzie potrzeba dobrych dziesięć łokci - powiedział czeladnik krawiecki Nowik.

Starał się o wyzwolenie i już tylko pół roku brakowało mu do końcowego egzaminu. Był pilny, starał się, ale był nadto pewny siebie i pewności tej często dawał wyraz, szczególnie w obecności obu pomocników mistrza, którzy byli ledwie terminatorami.

- Dziesięć łokci powinno wystarczyć - powtórzył Nowik. - Rozwińcie jeszcze trochę.

W milczeniu wypełnili polecenie, wstrzymując oddechy, bo satyna kosztowała krocie i bali się, żeby nie spadła na podłogę i nie wybrudziła się. Nowik wziął drewnianą miarę, starannie odmierzył tkaninę i kawałkiem kredy zaznaczył miejsce, w którym miała być przecięta.

- Gotowe, mistrzu - powiadomił, odkładając kredę.

Ginter Fuchs, krawiecki mistrz i starszy cechu krakowskich krawców, odwrócił się od okna, przez które wyglądał na ulicę. Z jego piersi wyrwało się ciche westchnienie. Ruszył w głąb pracowni, niski, grubawy, w wyświechtanym kaftanie, którego używał do roboty. Robota wprawdzie polegała głównie na kierowaniu pomocnikami, ale mistrz lubił ubierać się w roboczy strój, żeby widzieli, że i on pracuje. Odsunął na tył głowy kapelusz, podrapał się po zarośniętym rudą szczecinią podbródka.

- Gotowe, mistrzu - powtórzył Nowik - Czy mam przyciąć?

Ginter zbliżył się do stołu, małymi grubymi palcami pomacał tkaninę. Był to znakomity towar, sprowadzony za niemałe pieniądze. Leżał w magazynie dłuży czas, ale pobyt na zapleczu wcale materii nie zaszkodził.

- Dokładnie odmierzyłeś? - zapytał. Nowik uśmiechnął się z zadowoleniem - Oczywiście, mistrzu. Dziesięć łokci. Wziął nożyce i stał już w gotowości. Ginter zamachał rękami.

- Głupiś! Niby mistrzem chcesz zostać, a ciągle brakuje ci miary w oku. Jak w takich warunkach zamierzasz zdać egzamin, zupełnie nie wiem. Też wymyślił! Dziesięć łokci! A co

zrobisz, jak ci braknie, barania głowo?

Był niezadowolony, fukał, marudził. Nie dość, że bolał go brzuch i od kilku dni czuł się marnie, to jeszcze to zamówienie. To smutne zamówienie!

- Czeladnik! - prychnął zły. - Ofiara nie czeladnik! Jakie jest pierwsze przykazanie mistrza?

- Zaoszczędzić materii, a tak wykonać robotę, żeby nic się nie zmarnowało!

- Głupi! - zrzędził mistrz. - To jest drugie przykazanie, barani łbie. Pierwsze jest jak najlepiej wykonać zamówienie. Nie jesteś tu, żeby szyć byle co i byle jak. Tu jest warsztat, który pracuje dla dworu, kpie. Dla dworu! To jest zamówienie od pani królowej!

- Ale przecież mierzyłem...

- Głupis! - powtórzył Ginter, - Mierzyłeś i figę wymierzyłeś. Bo trzeba trzynaście łokci, kpie! Trzynaście! Zapamiętaj sobie. Gdybyś to robił dla innej jakiej niewiasty, starczyłoby dziesięć. Dla mieszczyki, gdybyśmy robili takie suknie, nawet i osiem. Ale nie dla pani Jadwigi. Dla pani królowej zawsze trzynaście łokci, głupku. Zapamiętaj.

I gestem dał znak terminatorom, żeby rozwinęli jeszcze materiał, sam wziął miarę do ręki i dokładnie obmierzył tkaninę.

- Tyle - powiedział, kiedy postawił znak. - Możesz przecinać, ale prosto, bo ci kości porachuję.

- Będzie prosto, mistrzu - zapewnił Nowik i ochoczo wziął się do roboty.

Miał rację, bo choć nie było narysowanej kreski przez całą szerokość beli, odciął równiutko jak się patrzy.

- No - przyznał krawiec. - Przynajmniej tyle umiesz. Resztę beli, na której zostało już niewiele, kazał chłopakom na powrót zapakować do worka i zanieść na zaplecze.

- Niech tam poleży sobie, daj Boże, jak najdłużej. Nowik starał się bardzo, więc zapytał:

- Czemu tak mówicie, mistrzu? Czemu ma leżeć jak najdłużej? To nie chcecie sprzedać tak pięknego materiału? Ginter Fuchs westchnął. Co za tępak z tego czeladnika!

- A do czego nam ta czarna satyna, barania głowo? Na bal myślisz? Nie, nie na bal. Zatem na żałobę. Miałbym się cieszyć, że przyszło mi znowu szyć żałobną suknię dla najjaśniejszej pani? Miałbym się z tego cieszyć?

To była już kolejna czarna suknia, jaką mistrz Ginter szył dla polskiej królowej. Przez minione lata wykonał ich kilka, sam już nie wiedział, jak wiele.

- Zaraz... - zastanawiał się półgłosem. - Najpierw była ta najmniejsza, dziecięca prawie, gdy pani Jadwiga nie była jeszcze pełnoletnia i płakała, bo nie pozwolili jej poślubić

tego pięknego Wilhelma... Potem była następna, kiedy uduszono jej matkę Elżbietę, wdowę po królu Ludwiku. Później ta z wysokim kołnierzem, gdy umarł książę Skirgajło, a ostatnia to była w zeszłym roku, kiedy zmarła Maria, królowa węgierska i siostra najjaśniejszej pani. No i teraz, na znak żałoby po tylu panach z chrześcijańskich krajów, co padli w bitwie z Saracenami pod Nicopolis... Mistrz Ginter westchnął ze współczuciem.

- Wiele tego. Zbyt wiele jak na tak młodą i tak dobrą osobę jak czcigodna pani Jadwiga. A to pewno nie jej ostatnia czarna suknia. Nie ostatnia. Biedna pani królowa! Tylko nieszczęścia wokoło...

W wielkiej sali Wawelu było tłoczno, od drzwi aż do samego podwyższenia, gdzie na tronach zasiedli pani Jadwiga i król Jagiełło.

Ale nie było muzykantów ni grajków. Królowa wystąpiła w obszernej sukni z czarnej satyny, bez żadnych ozdób i z włosami przykrytymi żałobnym welonem. W czerń były ubrane jej najbliższe dworki. Dworzanie mieli na rękawach czarne wstążki, podobnie wystąpili niektórzy ze zgromadzonych rycerzy, urzędników królestwa, gości na dworze. Tomasz Kalski herbu Poraj, ubrany całkowicie na czarno, z czarnym kapeluszem w ręku, uklonił się przed monarszą parą nisko do ziemi.

- Jego dostojność król węgierski Zygmunt prosi wasze królewskie moście o pomoc w wykupieniu tych jeńców, którym Bóg ofiarował łaskę i pozwolił zachować życie.

Wiedziano powszechnie, że jeńców pozostało niewielu, większość uczestników zeszłorocznej krucjaty padła w krwawej bitwie pod Nicopolis, a wziętych do niewoli turecki sułtan kazał zabić i prawie nikt nie ocalał z wielkiej chrześcijańskiej armii.

- Jego dostojność król węgierski prosi wszystkich swoich krewnych i kuzynów, dostojnych królów, książąt, możnych i rycerzy, żeby wpłacili tyle, ile mogą na wykupienie cierpiących w niewoli. Turecki sułtan wyznaczył ogromny okup, tak ogromny, że nikt nie mógłby zapłacić go samodzielnie. Jego dostojność król Zygmunt zrzekł się na ten cel swoich dochodów z Wenecji...

- Prawda to, że w Burgundii i Flandrii nałożono specjalne podatki? - zapytał Jagiełło.

- Prawda, miłościwy panie - potwierdził poseł. Król popatrzył na żonę.

- Wielce się troskamy o tych nielicznych naszych rycerzy, którzy dostali się do niewoli - oświadczył. - Tak jak modlimy się nieustannie za tych, co dusze oddali Bogu. Czy wiadomo, jacy rycerze ocalili z rąk sułtana? Pan Tomasz sięgnął w zanadrze, skąd wydobył zwój pergaminu.

- Oto lista, najjaśniejszy panie.

Król sam wstał z miejsca i odebrał pismo z rąk posła. Wrócił na miejsce, rozwinął list,

a biskup Wysz, stojący za plecami monarchy, odczytywał półgłosem zamieszczone na nim nazwiska i imiona.

- Hrabiowie d'Eu, de Nevers, de Bar, panowie de Coucy, de Tremoville, de Saint-Omer... Sami Francuzi i Burgundowie, najjaśniejszy panie... Jest sporo Niemców i kilku Italczyków. Ale także i wasi poddani. Jan z Tyczyny... panowie z Bogusławie... kilka nieznanym mi nazwisk...

- Mikołaj z Lipowej? - zapytał król. Biskup raz jeszcze przejrzał listę.

- Nie ma, miłościwy panie.

- Na pewno?

- Na pewno, miłościwy panie.

Król dał znak, żeby panu Kalskiemu, który miał się udać teraz na dwór księcia mazowieckiego, oddano spis.

- Zrobimy, co w naszej mocy - zapowiedział.

Skinął na stojącego w odległym kącie żołnierza. Był to sierżant królewskiej straży, siwy, starszy, w kolczudze, na której miał czerwoną tunikę, i w stalowym hełmie, płaskim, jakie były popularne w Czechach.

- Miłościwy panie? - ukłonił się żołnierz.

Podszedł, przyklęknął na kolano przed tronem. Obliznął wargi, niepewny, czego chce władca. A ten wyciągnął rękę i zdjął żołnierzowi hełm z głowy.

A kiedy wziął go do ręki, zsunął z palca kosztowny pierścień i wrzucił do wnętrza żelaznego garnka.

- Panowie - zwrócił się do obecnych. - Nie żałujcie darów na szczytny cel!

Królowa pierwsza przyłączyła się do tej zbiórki, zdejmując z dłoni jedyny pierścionek, a król wstał ze swojego miejsca i osobiście obszedł zebranych, odbierając od nich kamienie, pierścienie, kosztowne guzy z szat, perły od dam, złote błyskotki od kapeluszy i zawojów. Nawet biskup Piotr ofiarował swój kapłański pierścień z ametystem.

- Panie Kalski - skinął król na posła. - Oto nasza odpowiedź na prośbę króla Zygmunta. Weź i użyj odpowiednio.

- Przysięgam, że na nic innego nie obrócę tego daru - odparł pan Tomasz z ukłonem, a potem ukłonił się także obecnym: - Bóg wam zapłać wszystkim.

Podobnie jak i gdzie indziej, wieściom o klęsce krzyżowców długo nikt nie chciał dać wiary. W Paryżu tych wszystkich, którzy pierwsi przynieśli plotki o przegranej, uwięziono i skazano na śmierć przez utopienie, a tylko kolejne wiarygodne świadectwa uratowały im życie. Nikomu nie chciało się pomieścić w głowie, że tak wielka armia mogła ulec Saracenom

i doznać równie druzgocącej klęski, że nikt prawie nie ocalał.

Pierwsze wiadomości, jakie pojawiły się w Krakowie jeszcze przed Bożym Narodzeniem, rychło jednak znalazły potwierdzenie. O niepowodzeniu krucjaty mówili kupcy, potem przysły na dwór listy z Wenecji i Malborka, napisał sam król węgierski, a wreszcie pojawili się ci, którzy widzieli bitwę na własne oczy.

Królowa przywdziała czarną suknię, ogłoszono żałobne nabożeństwa w kościołach i w całym Krakowie zapanował ponury nastrój.

Czas karnawału nie był więc porą radości i śpiewu. Królowa odmówiła uczestniczenia w rozrywkach, a w jej ślady poszedł cały dwór. Odwołano tańce, płąsy i zabawy. Nawet w mieście karnawał przebiegał bez zabaw i wesołości. Jedni powstrzymywali drugich przed pustym śmiechem i niestosownymi żartami, a choć pospólstwo nie zamierzało rezygnować ze zwykłych dla tej pory radości, miały one ograniczony zasięg i przebiegały spokojniej niż poprzedniego roku.

Dwór zbierał się wieczorami, żeby modlić się za poległych, rozpamiętywać dawne sławne czyny rycerzy, opowiadać o ich bohaterstwie, czytać pouczające teksty. Przyjmowano z honorami wszystkich dostojników z obcych krajów, wysłano dodatkowych posłów do króla węgierskiego, a wszystko po to, żeby o wyprawie krzyżowej i kończącej ją krwawej bitwie pod Nicopolis, dowiedzieć się jak najwięcej.

- Polegli za wiarę - pocieszano się.

Tylko królewski wieszczek Alaban nie opuścił głowy i przy każdej sposobności przypominał swoje przewidywania.

- Ostrzegałem - powtarzał. - Ostrzegałem miłościwego pana. Przepowiadałem, że nie będzie to dobra wyprawa. Mówiłem, że tylko niewielu z niej powróci. Ale nikt mnie nie chciał słuchać, nikt nie brał poważnie pod uwagę moich ostrzeżeń.

Król nie był zadowolony z pamięci Alabana. Wprawdzie znowu pytał go czasem o zdanie, ale nie pozwolił zwrócić niczego z wyposażenia komnaty wieszczka, które przed kilku laty wyniesiono. Alaban zgromadził wprawdzie to i owo od nowa, ale wszystko to razem było niczym w porównaniu z tym, co miał poprzednio.

- Oto królewska łaska - narzekał. - Nie słucha właściwych doradców, słucha takich, co mu powiadają tylko to, co udane i radosne.

Miesiącami mieli przybywać na dwór ludzie podający się za uczestników wyprawy krzyżowej oraz uczestników bitwy pod Nicopolis. Początkowo serdecznie witano wszystkich, wszystkich goszczono i obdarowywano zaszczytami. Ale wiadomość o tym widać się rozeszła, bo nie brakowało i zwykłych oszustów, którzy trafiali na dwór po to tylko, żeby się

objeść, otrzymać nowe szaty, dobre słowo i garść srebra na drogę.

Kiedy się to zaś wydało, kilku dostało tęgie baty, a dwaj najbardziej zuchwali trafili nawet do ciemnicy. Strażnicy na zamku otrzymali więc szczegółowe polecenia, jak mają postępować, i zanim kogokolwiek dopuszczono do rozmowy z kasztelanem czy choćby tylko z burgrabią, musiał się solidnie wypowiadać przed nimi, powołać na liczne znajomości, znane wydarzenia. Byli oczywiście i tacy sprytni, którzy dobrze przygotowali się do swojej roli, ale i ich odkryto. Kasztelan kazał dwóch takich uwięzić, miano ich nawet ściąć, ale pani Jadwiga stanowczo zabroniła takiego surowego karania i tylko jej wstawiennictwu zawdzięczali, że po kilku tygodniach puszczono ich z wieży.

Giermek Barnaba pojawił się na królewskim dworze w połowie lutego. Jak każdego, który był uczestnikiem tej strasznej bitwy z niewiernymi, przywitano go z wielkim honorem i zaciekawieniem, omal jak bohatera, a sama pani Jadwiga zażądała, żeby się stawił przed nią i opowiedział, co widziały jego oczy.

Więcej jak trzydzieści osób zebrało się w sali, kiedy przeprowadzono do niej giermka pana Janisława ze Szczepocic.

Niski, mocny, czerwony na pysku, z oczami nieco rozbieganymi pod płową czupryną, o krótkich rękach i krótkich palcach u wielkich dłoni.

Kłaniał się wielokrotnie, onieśmielony osobą królowej i ogromnym zainteresowaniem zebranych. Patrzyli na niego, spijając prawie z ust jego słowa. Niewiele miał jednak do powiedzenia. Pan Janisław był tylko zwykłym rycerzem, nie należał do dowódców, jego giermek niewiele mógł wyjaśnić z tego, co się stało, bo sam niewiele widział - i może nie nazbyt wiele rozumiał.

- No, bywało ciężko - przyznał. - Najpierw mieli my Wszystko, co potrzeba, i nie brakowało niczego do jedzenia czy wypicia. Potem, jak poszliśmy w ziemie sułtańskie, było gorzej, bo brakowało paszy, a nie zawsze było co ugotować. Dla panów dowódców bywało lepiej, bo im przywozili statkami zaopatrzenie, ale my, zwykli ludzie, musieliśmy zdobywać żywność starymi sposobami. Tak że bywało ciężko...

- Ale grzała was pewność, że walcycie w wielkiej i słusznej sprawie - zauważył któryś z młodych rycerzy.

- A tak - zgodził się giermek po chwili.

- Jaki nastrój panował w szeregach? - dopytywano się. - Czy wszyscy chcieli walczyć do ostatniej kropli krwi? Czy ludzie byli nabożni? Czy modlili się często? Pomocy jakich świętych wzywali?

Giermek spojrział niepewnie.

- Czy byli nabożni, to nie wiem, panie. Ale na pewno wszyscy my bardzo się rwali do bitki. Długo nie było z kim się potykać, ale kiedy wreszcie nastali przed nami Saracenowie, to nie żalowali my siły, oj nie żalowali!

Barnaba niewiele miał do opowiadania, lecz słuchali z przejęciem. Pewne rzeczy słyszeli już z innych ust, ale nadal brakowało im wiadomości. Nowe było to, co powiedział o drodze powrotnej spod Nicopolis.

- Jak bitwa się kończyła i usłyszeli my, że król Zygmunt umknął, duch w nas upadł i nasi dowódcy dali znak, żeby każdy się ratował na własną rękę. Udało się i mnie dostać na łódkę, potem na statek i jakoś głowę ocalić. To jednak nie od razu. Szedłem długo, kryjąc się, jadłem byle co, ścigali mnie i raz omal nie pojмали. Widziałem po drodze wielu jeszcze naszych, ludzi szlachetnych i zwykłych żołnierzy. Bułgarzy doścignęli wielu, ubili i obdarli ze wszystkiego, mało komu udało się, jak mnie, skorzystać z bożej opieki, oj mało komu.

Zachęcony pytaniami, które w istocie były podpowiedziami, co chcieli usłyszeć pytający, giermek szybko zorientował się, co powinien mówić i w jaki sposób.

Szczegółowo więc opisał, jak stał do końca przy swoim panu i pobiegł do rzeki dopiero, kiedy przekonał się, że pan Janisław oddał ducha Bogu. Opowiadał potem o długiej i trudnej podróży i żalu swojej pani, gdy dowiedziała się o śmierci męża.

- Była chyba bardzo szczęśliwa? - zauważył ktoś. - Bo przecież to znaczy, że jej mąż trafił wprost do raj... Giermek pociągnął nosem. Nie był pewny, czy dobrze odczytuje wszystkie oczekiwania słuchaczy. Opowiadanie swoje zmieniał zgodnie z tymi oczekiwaniami.

Jego pan padł w bitwie przez przypadek, przebity włócznią sąsiada z szeregu, ale widzowie chcieli słuchać, jaki był dzielny i bohaterski, więc umiejętnie ubarwiał opowieść. Teraz chcieli, żeby wdowa okazała się szczęśliwa, więc starał się i tej wersji nie zaprzeczać.

- Chyba była szczęśliwa - potwierdził. - Tak, na pewno była szczęśliwa z tych wieści. Na początku krzyczała trochę i nawet płakała, ale potem uspokoiła się. Na drugi dzień zawołała mnie i oświadczyła, że postanowiła pójść do klasztoru.

Dwór pani Jadwigi komentował to rozmaicie. Ale przeważało zdanie, że wierna żona nie chciała wieść dalej swojego dotychczasowego życia, a postanowiła dorównać w pobożności sławnemu i dzielnemu mężowi.

## Jeńcy sultana

*Wiosna 1397*

Dwanaście pięknych białozorów, przyuczonych do polowania, siedzących na kosztownych haftowanych rękawicach, dziesięć pięknych wierzchowców z bogatymi rzędami, które wysadzone były kolorowymi drogocennymi kamieniami, dziesięć pięknych psów myśliwskich ubranych w satynowe szaty zdobione kosztownościami i obrazami świecącymi od klejnotów.

- Oto jest dar chrześcijańskich królów - tłumaczył pan Jacques de Helley. - Dar królów Zachodu dla tureckiego króla, dla ciebie, wielki sultanie.

Orszak z darami przechodził wolno już po raz drugi, żeby Bajazyt, zwany Błyskawicą, mógł dokładnie obejrzeć i należycie ocenić bogactwo francuskiego daru.

Sułtan siedział na jedwabnych poduszkach przed wielkim namiotem, patrzył spod przymrużonych powiek. Nic nie mówił, choć zaprawdę wspaniałe dary przygotowali dla niego królowie i książęta Zachodu.

- Piękne ptaki - przyznał wreszcie sultán, którego zamiłowanie do łowów z sokołami było powszechnie znane. - Ale nie widzę skrzyń z okupem.

Francuski poseł uklonił się nisko.

- Nadejda, wielki sultanie - obiecywał. - Nie jest łatwo zgromadzić tak wielki okup, ale po raz kolejny zapewniam w imieniu moich władców, że nasi panowie zostaną wykupieni, zgodnie z twoim słowem, że puścisz do domu pojmanych wodzów.

Bajazyt zmarszczył brwi.

- Nie spieszą się z okupem - mruknął niezadowolony. - Tymczasem wasi dowódcy narzekają na warunki w niewoli. Kto będzie odpowiadał, jeśli pomrą za kratami? Ja czy wasi nierychliwi królowie?

Pan de Helley pochylił się ponownie.

- Czy pozwolisz, wielki sultanie, przedstawić prośbę moich chrześcijańskich królów? Bajazyt zniecierpliwiony skinął dłonią.

- Wysłucham jej - zgodził się.

- Królowie Zachodu proszą cię, wielki sultanie, byś ulżył doli jeńców. Wiadomo nam jest bowiem, że przebywają w trudnych warunkach, wielu z nich poważnie choruje i możliwe nawet, że mogą nie doczekać...

- Niech więc się pospieszą z okupem wasi władcy - warknął sultán. - Niech się



pospieszą, niech nie pozwalają swoim wodzom siedzieć w niewoli.

- Robimy co możliwe, sułtanie. Ale musi to potrwać, bo suma, jaką raczyłeś wyznaczyć, jest zaiste ogromna... Jacques de Helley był głęboko nieszczęśliwy. Jego rady wyszły wszystkim na opak. Sułtan Bajazyt obejrzawszy dary, postanowił podwyższyć okup do dwustu tysięcy złotych florenów. A to właśnie pan de Helley namawiał władców chrześcijańskich, żeby wysłali do sułtana dar w miarę najwspanialszy. Sułtan zaś, widząc bogactwo chrześcijańskich królów, uznał, że mogą oni zapłacić znacznie większy okup, niż im wyznaczył początkowo. Teraz więc pan de Helley przeklinał w duchu dzień, kiedy poradził chrześcijańskim władcom takie bogate wystąpienie i martwił się, skąd wezmą oni tak ogromne pieniądze.

- Suma jest chyba godna waszych dowódców - zauważył sułtan spokojnie.

- To prawda, wielki sułtanie - zgodził się de Helley. - Jednakże warunki, w których przebywają więźniowie...

- Takie mają warunki, jakie im wyznaczyłem - uciął Bajazyt i dał znak, że nie zamierza ciągnąć tej rozmowy. - Zmienią się, kiedy wpłynie okup.

Jacques de Helley wycofał się z ukłonem. Kiedy odszedł, sułtan zwrócił się w stronę stojących opodal dostojników.

- Podejdz, synu mojej siostry.

Misani al-Rifad zbliżył się o trzy kroki i nisko skłonił przed władcą.

- Słucham, władco świata.

- Chcę mieć wiadomości, co się dzieje w wieży, gdzie trzymamy chrześcijan. Zdaje się, że nie bardzo mogę ufać meldunkom Arsana, bo on jako wojskowy, niewiele się na tym rozumie. Zatem pójdziesz tam, zobaczysz i ocenisz, a potem zdasz mi sprawozdanie.

- Będzie jak rozkazałeś, władco świata.

Sułtan zamachał małymi rękami.

- A teraz odejdźcie wszyscy. Chcę odpocząć. Rozmowy z tymi chrześcijańskimi wysłannikami bardzo mnie wyczerpują.

Wśród ofiarowanych sułtanowi darów była też piękna tkanina. Wykonano ją w mieście Arras, a przedstawiała jeźdźca na białym koniu z dłonią wzniesioną w rozkazującym geście, rozwianym włosom, oczami wpatrzonymi w dal.

- Czy tak wyglądał mój przodek? - zapytał sułtan.

- Tak, wielki sułtanie - odpowiedział Saleh al-Mansur, wielki wezyr. - To jest najślawniejszy wódz dawnych czasów, Aleksander, zwany Wielkim. Tak i ciebie będą nazywali, władco świata. Już cię tak nazywają - poprawił się szybko. Sułtan długą chwilę

przyglądał się obrazowi, utkanemu przez mistrzów chrześcijańskich i z podziwem potrząsał głową.

- Piękny dar - powiedział. - Piękny dar, choć przedstawia żywe istoty, co jest przecież zakazane przez Koran. Każ al-Rifadowi, żeby umieścił tę tkaninę w Komnacie Mądrości, gdzie znajdują się sztandary odebrane chrześcijanom. I niech ją zamknie, jak zamknął chorągwie gjaurów z wizerunkami ich świętych. Niechaj nie zobaczą ich oczy prawowiernych.

- Jak kazałeś, władco świata - pochylił się wezyr. Sapał, był bardzo zmęczony, czuł się chory, trząsał się i gorączkował. Bajazyt zobaczył to, ale nie zapytał o samopoczucie.

- Jutro - powiedział - Jutro masz być zdrowy, al-Mansur. Inaczej przyjdzie mi mianować nowego wezyra.

- Tak, władco świata - pochylił się stary dostojnik. - Jak sobie życzysz, władco świata.

Więźniów trzymano w wielkim piętrowym, dwuskrzydłowym budynku na skraju miasta. Kiedyś był tu dom kupca i składy przy nim. Opróżniono go niedawno, czyniąc kwatery dla jeńców sułtana. Całość otaczał drewniany płot na podmurówce, wysoki i solidny. Pierwsze piętro na wprost od dziedzińca zajmowali najbardziej dostojni jeńcy, których było kilkunastu. Na parterze pomieszczono pozostałych, prawie dwustu ludzi niższych stanów, którzy cudem uniknęli rzezi, bo zostali schwytani już po bitwie i uniknęli losu swoich towarzyszy, których ścięto na polu. Na dziedzińcu był stawik, skąd czerpano wodę dla jeńców, a oni sami siedzieli w pomieszczeniach, które dawniej były składami handlowymi i stajniami dla zwierząt. Tłoczyli się tu na słomie, obdarci, brodaci, brudni i spragnieni. Wartownicy otworzyli bramę, z szacunkiem skłaniając, się przed wysłannikiem sułtana. Jeden z żołnierzy poszedł za lekarzem krok w krok jako jego ochrona.

- Czy to konieczne? - zapytał al-Rifad. Nadzorca więzienia przyłożył dłonie do piersi.

- To niezbędne, dostojny panie. Ci chrześcijanie nie umieją uszanować waszej godności, dlatego pójdzie z wami mój sługa z biczem. Oni tam siedzą i nudzą się, więc co i raz wybuchają pomiędzy nimi bójkami i zamieszanie. Biją się o wodę, biją się o jedzenie.

Poszli.

Kiedy Misani zobaczył brudne zatęchłe pomieszczenia i gromadę obdartusów leżących ciasno na słomie, natychmiast domyślił się wszystkiego.

- Biją się? - zapytał. - Może dlatego, że dajesz im za mało jeść?

- Za mało? - zdziwił się nadzorca. - Daję tyle, ile się należy. Nie lepiej było na piętrze, gdzie umieszczono dowódców chrześcijańskiej wyprawy. I oni leżeli na słomie, ale tu pokrytej brudnymi prześcieradłami. Wyglądali nie lepiej od ludzi na dole, ale w ich postawie

było coś władczego, co pozwalało zgadnąć, że uważają się za coś znacznie ważniejszego od swoich towarzyszy.

Misani al-Rifad przystanął w progu i czekał, aż wszystkie spojrzenia skierują się w jego stronę.

- Wielki sułtan przysłał mnie tutaj, żebym zobaczył, w jakich warunkach przebywacie i czy czego wam nie potrzeba.

Skoczyło ku niemu kilkanaście zarośniętych, kudłatych postaci, jeden przez drugiego mówiąc i wykrzykując, aż musiał się cofnąć, żeby nie czuć wydzielanego przez nich smrodu.

Nadzorca wysunął się przed lekarza. Spokojnym wyćwiczonym ruchem, podniósł bicz znaczącym gestem. Uspokoili się, a kiedy lekarz na tabliczce zaczął spisywać ich prośby, zgłaszali je kolejno i w jakim takim porządku.

- Lepsze szaty - powtarzał głośno. - Lepsza żywność. Więcej powietrza. Częściej wnosić ciała zmarłych na dole, bo cuchną w upale. Pozwolić na nakrycia głowy. Dostarczyć wino.

Przerwał i spojrzał na nich z niedowierzaniem.

- Chcecie wina? Czyżbyście zapomnieli, że święty Koran zabrania picia takich napojów?

- Jesteśmy do wina przyzwyczajeni - powiedzieli. - Urąga naszej godności, że pić musimy wodę niczym jacy prostacy.

Misani al-Rifad skrzyżował ramiona.

- Nawet nie powtórzę waszej bezczelnej prośby wielkiemu sułtanowi. Wieczorem tego dnia sułtan Bajazyt zapytał lekarza:

- Cóż tam widziałeś, synu mojej siostry?

Siedział na jedwabnych poduszkach w tronowej sali swojego pałacu. Misani al-Rifad pochylił głowę w ukłonie.

- Obejrzałem więzienie, jak sobie życzyłeś, władco świata. Jeśli pozwolisz mi mówić, poproszę cię o polepszenie ich losu.

- Czemu miałbym to zrobić?

- Bo są twoimi więźniami i możesz z nimi zrobić, co zechcesz. Kiedy zaś powrócą do swoich krain, będą wychwalać twoją wielkoduszność, wielki sułtanie.

Bajazyt lekceważąco wzruszył ramionami.

- Nie zależy mi na zdaniu niewiernych.

Skinął jednak na lekarza, że chce wysłuchać jego szczegółowej relacji. Ale słuchał nieuważnie, jakby zajęty innymi myślami.

- Niewiele trzeba, by poprawić los twoich jeńców, wielki sułtanie - zaproponował Misani. - Pozwól im się umyć, bo strasznie cuchną. Pozwól, żeby zdjęto łańcuchy z nóg tych, którzy je noszą, bo i tak nie mogą uciec z zamkniętego miejsca. Ośmiu ich zmarło w ostatnim tygodniu z chorób i niedożywienia. Wśród nich ów dzielny hrabia de Coucy. Czy zezwolisz, władco świata, bym wydał polecenie, żeby jego ciało przewieziono do Francji?

Bajazyt zmarszczył brwi.

- To wbrew naszemu prawu - zauważył. Misani al-Rifad skłonił głowę.

- A jeśli przypomnę ci jego męstwo, władco świata? Sułtan zgodził się natychmiast.

- Rozporządź, jak uznasz za stosowne w moim imieniu - rozkazał zniecierpliwiony. - Ale tylko w odniesieniu do rycerzy. Niech hrabiowie pocierpią jeszcze. Przynajmniej do czasu nadejścia listów w sprawie okupu. Muszą wiedzieć, że jest to niewola, a nie gościna pod moim dachem.

- Tak, wielki sułtanie.

Lekarz uklonił się nisko i zamierzał odejść, by wypełnić otrzymane polecenia, ale Bajazyt zatrzymał go niespodziewanym pytaniem.

- Czy dałem ci upoważnienie, byś zwolnił nadzorcę tego więzienia?

- Nie, ale nie mogłem tolerować, żeby cię okradano, potomku Proroka. Nadzorca oszukiwał cię na każdym kroku. Żałował jeńcom słomy do spania i zboża do jedzenia, choć w raportach pisał, że wiele tego zużywają.

Sułtan pokiwał głową aprobująco.

- Co z nim zrobiłeś? - spytał.

- Kazałem założyć kajdany i zamknąć z chrześcijanami. Bajazyt roześmiał się rozbawiony. - To rzeczywiście bardzo dobra kara dla złodzieja, synu mojej siostry - pochwalił. Misani al-Rifad nie podniósł wzroku.

- Brak mi twojej znanej przenikliwości, władco świata. Kara okazała się mało odpowiednia, bo zbyt krótka. Chrześcijanie natychmiast zadusili nadzorcę.

## Oczekiwanie

W Dolinie czekano na wieści o panu Mikołaju. Najpierw spokojnie, potem z rosnącą niecierpliwością, wreszcie z niepokojem. Plotki, jakie tu docierały, były coraz okropniejsze. Mówiono o wielkiej bitwie z Turkami i o tym, że Saraceni bezlitośnie wycięli wszystkich chrześcijańskich rycerzy, jacy ocaleli w bojach.

Pan Jenó siedział w swojej Krasawie, lecząc się z ran, które mu zadano zeszłego roku podczas oblężenia Bolesławca.

Po zwycięskiej wojnie z księciem Opolczykiem podpisano pokój, a holsztyński starosta otrzymał królewskie zezwolenie, by mógł opuścić oddziały dla poratowania zdrowia.

Pan Jenó marszczył brwi i milczał. Wobec niepewnych a często sprzecznych wieści wydał rozkaz, żeby ugoszczono każdego wędrownego żołnierza, dokładnie go przy tym wypytując. W Krasawie pojawiło się ich tego roku bardzo wielu. Maruderzy spod rozmaitych sztandarów, wędrujący po kraju, trafiali także do Doliny, jak trafiali tu po każdej wojnie. Ale nikt nie umiał nic powiedzieć o Mikołaju z Lipowej.

- Żadnych wieści - biadała pani Alena. - Nikt nie widział naszego syna po bitwie. Nie było go wśród poległych ani wśród jeńców.

- Może to dobry znak - pocieszał pan Jenó. - Może dobry znak. Skoro go nie widziano zabitego, może gdzie żyje.... Pani Alena rzucała się po izbie i płakała straszliwie.

- Nie mnie, niewieście, oceniać tak straszne sprawy jak wojna. Ale wiem ja dobrze, co się dzieje tam na bitewnym polu. Jeśli go nie ma wśród poległych i nie ma wśród jeńców, to gdzie jest? Gdzie jest? Może jego piękna głowa potoczyła się po ziemi, może nie została znaleziona... Wiosną tego roku, na dolnej części wielkiego kamienia stojącego przy dworze w Lipowej, na pamiątkowym kamieniu przytoczonym tu przez Mikołaja, pojawiła się cienka warstwa mchu.

- Boże - westchnęła ciężko na ten widok Hedwiga. - Czy dajesz mi kolejny znak? Tego dnia pani Roksana powiedziała do bliźniaków:

- Jeśli wasz ojciec miałby nie wrócić, któryś z was zostanie panem na Lipowej.

- To ja - zgłosił się Marcin. - Bo jestem starszy. Pani Roksana uśmiechnęła się.

- Słusznie. A jako prawowity dziedzic roztoczysz chyba nad wszystkimi innymi opiekę. Weź mnie w opiekę, mój chłopcze.

Późną wiosną sporo już wiedziano o przebiegu krucjaty. Znano jej kolejne etapy, znano listy poległych i imiona części z tych, których ścięto z rozkazu sultana na polu bitwy.

Znano także listę uwięzionych, których można było wykupić. Pieniądze zbierano w wielu chrześcijańskich krajach, a w Burgundii specjalny nałożony podatek na wykupienie księcia de Nevers musieli płacić - rzecz to niesłychana - także duchowni.

Targi z sułtanem ciągle trwały, więc jeńcy nadal siedzieli w pętach, ale do chrześcijańskich miast i zamków coraz szerzej przybywali maruderzy. Ci wszyscy, którzy mieli szczęście w bitwie i udało się im umknąć z pola, po walce albo i wcześniej. Byli też tacy, którzy przepłynęli Dunaj, a wracali do domu, doświadczając licznych i przykrych często przygód. Oni przynosili wieści o innych, także o tych, co padli w odwrocie, często blisko już ojczystych granic. Latem strumień ten miał się zmniejszyć, a jesienią zaniknąć zupełnie i wszyscy oczekujący zrozumieli, że mało kto więcej powróci.

Królowa Jadwiga bardzo interesowała się losem polskich krzyżowców i bardzo dokładnie sama albo ustami kasztelana wypytywała wszystkich uczestników wyprawy o niektórych, szczególnie zaś o Mikołaja z Lipowej. Niewiele jednak dało się ustalić.

- Widziałem go w obozie - mówili jedni.

- Był przy królu Zygmuncie - powiadali inni.

Ale nie potrafili wskazać, gdzie był pan Mikołaj podczas bitwy, albo wykręcali się od rzeczowej odpowiedzi. Kasztelan krakowski Dobiesław rozumiał to jednoznacznie.

- Niestety, miłościwa pani - powiedział do królowej. - Może to znaczyć tylko jedno. Ci ludzie uciekli pewnie z pola przed walką, więc nie mogli jej oglądać i nie widzieli, jak stawali przeciw niewiernym poszczególni rycerze. Skoro mówią, że nie widzieli pana Mikołaja, może to oznaczać tylko jedno. Nie uciekł z pola, został na nim i zapewne stawał bohatersko. Jeśli zaś wziął udział w bitwie, nie powrócił z tymi włóczęgami i nie ma go na liście jeńców... Królowa zamachała ręką.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Tak być nie może, kasztelanie Póki nie mamy pewności, nie mamy świadka jego śmierci i nie możemy w to uwierzyć. Rozmaite bywają losy ludzkie, więc i tym razem poczekajmy na jakiś znak lub dowód.

Na jej prośbę rozpytywano wszystkich, a król Jagiełło wysyłając poselstwo na Węgry, załączył nawet własnoręczny list pani Jadwigi do króla Zygmunta. Odpowiedź, jaką po pewnym czasie przyniesiono, także nie wyjaśniała wiele. Król Zygmunt odpisał, że dzielnie stawał pan Mikołaj, walcząc nad brzegiem Dunaju, ale nie udało się ustalić jego losów. Zapewnił także, że wymieniono listy z dostojnikami tureckimi i nie ma wśród jeńców nikogo o takim imieniu. Takie ustalenia przekazała królowa Hedwidze, kiedy ta przyjechała na Wawel prosić o pomoc i ratunek.

- Może Mikołaj zaplątał się z innymi - pocieszała. - Może pomyłono imiona. Są

bowiem wśród jeńców przedstawiciele wielu narodów i może być, że źle zapisano jego imię. Kiedy tylko wyjaśni się wszystko, może dowiemy się więcej.

- On żyje, najjaśniejsza pani - powtarzała Hedwiga z przekonaniem. - Na pewno żyje.

Z dnia na dzień spodziewano się potwierdzenia, że sułtan przystał na wielkość oraz sposób przekazania okupu i zezwolił uwięzionym powrócić do swoich ziem i krain.

- Poczekajmy - mówiła pani Jadwiga. - Na pewno jest wśród nich i twój Mikołaj. A jeśli nie ma, oni właśnie będą może wiedzieli o nim coś pewnego.

Hedwiga została na dworze.

Życie tymczasem toczyło się swoim torem i widmo niedawnej klęski powoli odchodziło w zapomnienie. Pamiętano raczej wspaniałe orszak, jaki szedł do boju, strojny i zbrojny, a wieczorami rozmowy w komnatach wawelskich skupiały się bardziej na opowieściach o bohaterach, ich zasługach i wspaniałej postawie niż na żalu za zabitymi. W końcu wszyscy oni jak jeden mąż trafili od razu do raju i nie brakowało takich, którzy jawnie zazdrościli poległym.

- Już niedługo - pocieszała panią z Lipowej królowa Jadwiga. - To już zupełnie niedługo. Wkrótce powrócą rycerze z niewoli, a z nimi wróci nadzieja.

Hedwiga była poważna i smutna nawet, co nie wszystkim się podobało. Jedni jej współczuli, inni zaś uważali, że powinna zaprzestać wypatrywania męża i tak jawnie sprzeciwiać się woli bożej. Jeśli ma powrócić, przecież powróci, a jeśli oddał życie za wiarę, nie wolno pomniejszać tej ofiary.

Hedwiga zaś martwiła się i tym, co dzieje się w Lipowej w czas jej nieobecności, ale postanowiła zostać na Wawelu, aż będzie mogła rozmówić się z powracającymi, a potem dokładnie ich jeszcze o wszystko wypytać. Gdyby bowiem wróciła do domu, a dawni jeńcy rozjechali się po swoich ziemiach, jakże trudniej byłoby jej trafić do każdego.

- Zostań - mówiła pani Jadwiga. - To już przecież niedługo. A przez tych kilka tygodni nic złego stać się nie może w Lipowej. Sama mówiłaś, że masz dobrego rządcę, a owa pani Roksana też zadba o sprawy jak należy.

Królowa wiedziała dobrze o wszystkim, bo o wszystko szczegółowo wypytała, a Hedwiga opowiedziała jej wydarzenia ostatniego roku bardzo dokładnie, niczego nie ukrywając.

Hedwiga czuła się także odpowiedzialna przed chłopcami. Myślała teraz, że mogła była powstrzymać Mikołaja przed wyprawą. Przecież, gdyby zażądała, zmusiła go, żeby został, nie pojechałby. Nie pojechałby i nie przepadł, a chłopcy mieliby ojca.

Pytali o niego często, bo wiedzieli w jakim celu pojechał, słyszeli o przebiegu bitwy i

o wielkich ofiarach. Wiedzieli też, że nie ma go wśród powracających.

Hedwiga nie wyobrażała sobie życia bez Mikołaja, życia samotnego. Pamiętała przecież, co mu powiedziała, kiedy odjeżdżał. Ze jeśli on zginie, ona także żyć przestanie. A przecież nie przestała, każdego ranka budziła się do nowego dnia i każdego ranka przekonywała się, że skoro ona żyje, więc i Mikołaj musi gdzieś być na tym świecie.

Postanowienie o wyjeździe na dwór królewski przyszło Hedwidze tym łatwiej, że miała kogo zostawić w majątku, kto stałby na straży jej synów.

- Oczywiście, że zostanę - powiedziała Roksana. - Możesz jechać i możesz całkowicie zdać się na mnie. Będę dla chłopców równie dobrą opiekunką jak ty sama.

Wprawdzie dotąd to raczej Hedwiga matkowała Roksanie, leczyła dawne jej rany i dbała o wszystko, ale teraz Roksana koniecznie chciała odplacić się przyjaciółce za dobre serce i miesiące starań.

Pani Alena, teściowa Hedwigi i matka Mikołaja, nie czuła się wystarczająco dobrze, żeby mogła zająć się majątkiem i chłopcami. To musiał być ktoś, kto mieszkałby w Lipowej i miał oko na wszystko każdego dnia, przez cały czas nieobecności Hedwigi.

Marina, siostra Hedwigi, ani słyszeć nie chciała o podobnej możliwości. Miała dość swoich kłopotów z Dominikiem, z którym radziła sobie coraz trudniej, więc choć kochała siostrzeńców, nie mogła podjąć się nad nimi opieki.

- Ale przyjadę zawsze, kiedy tylko będzie trzeba - obiecywała.

W tej sytuacji, przy zapewnieniu rządcy Jacka, że nic nie grozi majątkowi, Hedwiga nie wahała się długo. Kazała się pakować, a potem ruszyła do Krakowa.

- Nie martw się - uspokajała Roksana, gdy żegnały się przed dworem. - Nie martw się ani przez chwilę. Zadbam tutaj o wszystko. I pamiętaj tylko, żeby nie ufać plotkom i pogłoskom. Sama wiem dobrze, jak potrafią być zwodnicze. Na pewno spotkasz tam takich, którzy będą ci różności opowiadać. Nie ufaj im. Ufaj tylko swojemu rozumowi i swojemu sercu. Póki nie zdobędziesz dowodu o śmierci Mikołaja, nawet nie wolno ci myśleć, że może nie powrócić do domu.

Choć bez własnych doświadczeń rodzicielskich, Roksana była przekonana, że łatwo sobie ze wszystkim poradzi. Jej zdaniem bliźniakom nadmiernie dotąd pobłażano i zamierzała to ukrócić.

Od razu po wyjeździe Hedwigi ochoczo wzięła się do wypełniania swoich obowiązków. Była zaś panią na majątku i dla obu chłopców miała zastępować matkę.

Zaraz też wezwała obu przed siebie, a kiedy stanęli, zaczerwieniem od biegania i zabawy, powiedziała:



- Wasza matka pojechała szukać waszego ojca. Jak wiecie, póki ona nie wróci, ja będę waszą opiekunką. Od razu też wam zapowiadam, że hojnie będę nagradzała dobre postępowanie, a nie ujmę kary, kiedy okaże się to konieczne. Patrzyli uważnie, z ciekawością. Matka pozwalała im na wiele i czasem tylko mówiła, że brakuje im dyscypliny.

- Nie znacie karności - ciągnęła pani Roksana. - Nieobecność waszej matki to dobra sposobność, żebyście nauczyli się trochę posłuszeństwa i odpowiedniego szacunku dla rodziców. Bo niezależnie od tego, czy ojciec wasz wróci czy nie wróci.

- A czy wróci? - zapytał Mateusz, młodszy. Pani Roksana zmarszczyła brwi.

- Wasza matka nie powiedziała wam tego, bo wcale nie musiała. Ale obie tak się umówiliśmy. Ona odjechała, ja zostałam. Moim zadaniem jest nauczyć was posłuszeństwa i pokory. Zamierzam poważnie wziąć się do tego zadania. Będę więc was uczyła i zapewniam, że nauczę. Zaczniemy od tego, żebyście zapamiętali, że zawsze i wszędzie macie okazywać szacunek starszym i od siebie dostojniejszym. Waszej matce przede wszystkim. A ponieważ jej tutaj nie ma, a ja ją zastępuję, więc się będziecie uczyli szacunku do mnie. Zaczniemy zaś tę ważną naukę od razu. W jej, to znaczy mojej obecności, nie będziecie odtąd śmieli się odzywać niepytani. Matka stanowczo za bardzo was rozpuściła i moim zadaniem jest ukrócić takie zachowanie. Zatem nie będziecie się odzywać niepytani, a każdy, który złamie zakaz, poniesie karę.

Patrzyli po sobie zmieszani i trochę niepewni. Zapowiedzi wyglądały na bardzo surowe. Matka tak nie postępowała, choć oczywiście narzekała czasem, że są zbyt rozpuszczeni, ale nigdy nie groziła karami tylko za samo odezwanie się.

- Zaczniemy od razu - powtórzyła pani Roksana. - Ten jeden, pierwszy raz wam daruję. To znaczy daruję Mateuszowi, że się odezwał niepytany, ale powtarzam to raz jeszcze, że jeden jedyny raz odstąpimy od zasady. Od tej chwili każda przewina będzie dokładnie zapamiętana i dokładnie wyliczona różgami.

Byli zaskoczeni.

- Każda? - nie dowierzał Marcin. - Nawet mała?

- Każda - potwierdziła pani Roksana. - Żebyś zapamiętał, że masz się odzywać tylko wtedy, gdy ci pozwolę. Inaczej jakże nauczysz się czegoś pożytecznego?

- Ale przecież matka...

- Matka mnie zostawiła wasze wychowanie - surowo przypomniała pani Roksana. - Ty zaś, Marcinie, już zasłużyłeś na trzy różgi.

Starszy z bliźniaków był wyraźnie zaskoczony. Pani Roksana odnosiła się do nich odpowiednio, do tej pory nigdy nie skarżyła się na ich psoty i zabawy. A teraz miała taką

srogą minę.

- Nie odważycie się nas bić - powiedział zuchowato. Pani Roksana zacisnęła wargi. W jej oczach była stanowczość.

- Widać, że wcale mnie nie słuchacie, niepoprawni chłopcy - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Gdybyście słuchali, wiedzielibyście, że to nie są żarty a bardzo poważna sprawa. Macie nauczyć się szacunku. I nauczycie się, choćbyście mieli płakać całymi dniami.

Sługa czekał w pobliżu z pękiem różeg w garści. Roksana pokazała go gestem.

- On z polecenia waszej matki dopilnuję, żeby wszystko, co zostało zawinione, dokładnie zostało wymierzone. Za każde słowo wypowiedziane bez pozwolenia jeden raz. Za inne nieodpowiednie zachowanie, odpowiednia ilość razy.

Gestem wezwała sługę, a kiedy podszedł, kazała Marcinowi wyciągnąć dłoń i odebrać cios witką. Sługa robił to niechętnie, ale nie mógł odmówić pani. Marcin nie zapłakał, skrzywił się tylko i zaraz odbiegł. Wtedy otrzymał drugi raz. Bo pani Roksana kazała go zatrzymać i zawrócić.

- Nie wolno ci odejść bez pozwolenia - powiedziała spokojnie. - Wystaw rękę. I sama wymierzyła karę.

Sługa prawie płakał, gdy wieczorem znalazł okazję, żeby uskarżać się przed młodymi paniczami. - To nie moja wina - mówił płaczliwym głosem. - Pani tak kazała.

- Żebyś się nie ważył mnie tknąć - krzyczał Marcin. - Żebyś się nie ważył. Jak matka wróci, wszystko jej powtórzę, a wtedy sam zobaczysz, jaka będzie niezadowolona. A i ja, kiedy tylko obejmę dwór, natychmiast ci za wszystko zapłacę. I to po wielokroć.

Sługa odszedł płacząc, ale następnego dnia znowu stawił się z różgami, jak mu przykazała pani Roksana.

Był ranek, ciepły i wesoły.

Pani Roksana przywitała bliźniaków chmurnym spojrzeniem.

- Nie widziałam was rano - oznajmiła. - Odeszliście bez pytania o pozwolenie. Tak więcej nie będzie. Zawsze będziecie o to pytać. A żebyście zapamiętali polecenie, dostaniecie po dwie różgi.

Beczeli obaj z bezsilności, płakali za matką i płakali za ojcem.

- Wasza matka wkrótce powróci - powiedziała Roksana. - Niedługo może powróci też wasz ojciec. Ale może i nie wróci. Tedy mnie słuchajcie, bo ja tu jestem i jeśli nie chcecie narazić się na mój gniew, nie bądźcie krnąbrni. Porządki wprowadzone przez panią Roksana mało się podobały mieszkańcom Lipowej. Pierwszy poczuł się urażony pan Jacek, rządcą dworu. Od lat cieszył się zaufaniem Mikołaja i jego żony, a tymczasem teraz z dnia na dzień

pani Roksana odsunęła go od jego obowiązków. Chodził po dworze, po gospodarstwie bez zajęcia i znieść nie mógł beczynności. Nie dość, że ostatnie dwa lata były tak nieurodzajne, to jeszcze rozkazy nowej pani powodowały, że ziarno psuło się w spichrzach, służba się rozleniwiała, wszędzie wkradało się rozprężenie i nieład. Pan Jacek nadziwić się nie mógł takim porządkom. Próbował bronić swojej dawnej pozycji, ale pani Roksana dała mu wyniośle znać, że nie potrzebuje jego rady ani pomocy.

- Sama o wszystkim będę rozstrzygać - zapowiedziała. - Wy możecie sobie znaleźć inne zajęcie.

Pan Jacek odszedł upokorzony, a wkrótce pani Roksana wpadła na pomysł, żeby pojechał pilnować porządków w Dębowcu. Panu Jackowi nie bardzo to dogadzało.

- Nie godziłem się do Dębowca - nachmurzył się. - Zgodził mnie pan Mikołaj do Lipowej i tutaj zamierzam zostać.

- A ja was posyłam do Dębowca - zmarszczyła brwi Roksana. - Hedwiga kazała mi zająć się chłopcami i majątkiem, tedy sama nie mogę doglądać mojej ziemi. Wy, skoro narzekacie na brak zajęcia, będziecie je mieli. Jutro rano chcę was zobaczyć w Dębowcu. Będziecie mi co niedziela składać dokładne sprawozdania.

Pan Jacek uległ dopiero po trzech dniach namysłów. Ale uległ i pojechał, jawnie okazując swoją niechęć i opór.

Przez następne tygodnie dzielił czas pomiędzy Dębowiec i Jastrzębice, a że był człowiekiem pracowitym i bardzo dokładnym, mniej więcej raz na tydzień przyjeżdżał do Lipowej, żeby pani Roksanie zdać sprawę z prowadzenia jej majątku.

W następnym tygodniu pani Roksana oddaliła dziewczynę i dwóch pacholków, nie wiadomo z jakich powodów, a nie miała się przed kim tłumaczyć. Byli zdziwieni, próbowali pytać, ale kazała im tylko wypłacić, co się należało i odesłała, zakazując powrotu.

Pani Alena z Krasawy, której zadaniem było doglądanie wnuków, zapytała o to przy okazji, ale dowiedziała się tylko, że służba nie pracowała odpowiednio i straciła zaufanie Roksany.

- Jeśli chcecie popisać się dobrocią, możecie przygarnąć tych darmożjadów - zaproponowała wyniośle pani Alenie. Pani z Krasawy uniosła się honorem, bo źle została przyjęta we dworze swojego syna i odjechała w gniewie.

- Musisz coś zrobić, mężu - mówiła do pana Jeny rozszalona, że chłopców widuje tylko w kościele. - Nie może tak przecież być, żebyśmy obcej osoby musieli prosić, by mi pozwoliła zobaczyć się z własnymi wnukami.

- Coś zrobię - obiecał pan Jeny.

Pojechał do dworu syna i odbył z panią Roksaną krótką rozmowę. Zdziwił się, bo wynikało z niej, że Roksana nie stawia przeszkód w widywaniu wnuków.

- Wprawdzie to mnie powierzyła ich Hedwiga i przed nią za nich odpowiadam - mówiła - ale wy czy pani Alena możecie przyjeżdżać, kiedy tylko chcecie. Pan Jenó zdziwił się otwartością Roksany.

- Więć nie bronicie ich widywać? Bo moja żona...

- Zapewne coś niedokładnie usłyszała - powiedziała Roksana spokojnie. - W głowie mi nie postać, żeby jej czy wam czegokolwiek bronić.

I rzeczywiście nie sprzeciwiała się, kiedy pan Jenó przyjeżdżał do Lipowej, gdy obserwował ćwiczenia chłopców, gdy sam ich prowadził, układał ręce na broni, wyjaśniał wszystko i nauczał rycerskich obyczajów oraz wojennego rzemiosła. Tylko na dalsze wyprawy nie pozwalała ich zabierać, twierdząc, że chwilowo są jeszcze za mali i Hedwiga zabroniła.

Po namyśle pan Jenó przyjął takie rozwiązanie. Nie mógł stale siedzieć w Lipowej, a wobec oporów Roksany nie mógł też stale mieć wnuków u siebie. Ponadto również pani Alena, która najchętniej miałaby wnuki przy boku, za bardzo w tej sprawie nie naciskała, bo musiała się zająć swoją córką Elżbietką i jej poświęcać coraz więcej czasu i uwagi.

Roksana rządziła tymczasem coraz pewniej, im bardziej przedłużała się nieobecność właściwej pani na Lipowej.

Rozdzielała prace, sprawdzała rzetelność ich wykonania, karała opornych i leniwych.

- Będziecie mnie słuchać wszyscy bez wyjątku - powtarzała. - Pani Hedwiga będzie mi wdzięczna, że przywróciłam jej ludzi do porządku i posłuszeństwa.

Burczeli pod nosem, ale stosowali się do poleceń, wyglądając jak najszybszego powrotu pani Hedwigi. Pracowali, bo trzeba było pracować dla niej, nie dla obcej, która wkrótce przecież stąd odejdzie. Pracowali, ale zapamiętywali wszystko, co działo się we dworze, żeby po powrocie Hedwigi móc jej opowiedzieć o wszystkim i na wszystko się poskarżyć. I pan Mikołaj, i pani Hedwiga byli sprawiedliwi, więc na pewno będą umieli docenić wierność i życzliwość dla rodu.

Roksana sprowadzała czasem do dworu jakichś obcych ludzi. Raz i dwa zajeżdżali tu jacyś zbrojni, którzy długo naradzali się z nią w świetlicy, a potem odjechali na północ. Nikt nie wiedział, skąd są ani o czym tak gadali z panią, ale wszyscy widzieli, że wyjeżdżali zadowoleni, a pacholkiwie zauważyli nawet jak jeden ze zbrojnych wyniósł z domu spory woreczek, najpewniej wyładowany srebrem.

- Nowa pani chce chyba przetracić majątek naszej pani Hedwigi - mówili ludzie

chmurnie, ale nikt nie odważył się jej przeciwstawić.

W kilka tygodni pani Roksana całkowicie zapanowała nad Lipową.

Najgorzej ułożyły się stosunki między nową panią na Lipowej a Mariną z Potoka. Marina miała żal do siostry, że powierzyła opiekę nad majątkiem właśnie Roksanie, a nie jej, która była do tego lepiej przygotowana. Hedwiga nie chciała obciążać siostry. Marina płakała za Jordanem, a Hedwiga wzięła na siebie obowiązek rozpytania nie tylko o swojego męża, ale i o kochanka siostry. Poza tym Marina miała przecież pod opieką dziesięcioletniego Dominika, syna pani Judyty, i wydawało się Hedwidze, że nie można na jedne niewieście barki złożyć zbyt wiele. Takie rozwiązanie - Marina zarządza swoim Potokiem, a Roksana rządzi w Lipowej - uznała za najlepsze. Nawet nie przypuszczała, że może to być powód do kłótni. Hedwiga znała wprawdzie siostrę i jej ustawiczne żale do całego świata, ale nie przypuszczała, że może się to obrócić w otwarty konflikt. Bo Marina szybko zapomniała, że odmówiła siostrze bezpośredniej pomocy.

Marina z Potoka pojawiła się w Lipowej zaraz po wyjeździe siostry i odbyła z panią Roksana rozmowę. Roksana była uprzejma, łagodnie i cierpliwie tłumaczyła swoją postawę i rozkazy Hedwigi.

- To z uszanowania dla was - wyjaśniała. - Wasza siostra nie chciała obarczać was dodatkowymi obowiązkami.

- Ale to brak szacunku - Marina była oburzona. - Czuję się pominięta!

- W żadnym wypadku - zapewniała Roksana. - Obiecałam waszej siostrze, że w każdej ważnej sprawie zapytam was o zdanie i liczę, że mi nie odmówicie swojej pomocy.

Marina poczuła się mile połączona i na razie jej atak osłabł. Spodziewała się bowiem ze strony Roksany oporu i upor, nie była przygotowana na jej ustępliwość, uprzejme słowa i łagodne spojrzenia.

- Oczywiście, że waszym prawem jest pilnować majątku siostry i zadbać o jej dzieci - mówiła Roksana. - Ja wam tego prawa ani myślę odbierać, ja was tylko jakby zastępuję, skoro jestem tu na miejscu. Ale wszystkie wasze polecenia zostaną dokładnie wykonane.

Marina odjeżdżała z Lipowej zadowolona i w pełni usatysfakcjonowana. Nie kryła też podziwu dla swojej młodszej siostry, której jak zwykle zazdrościła umiejętności postępowania z ludźmi. Hedwiga umiała tak wszystko urządzić, że wszyscy służyli jej chętnie i stale byli gotowi udzielić pomocy.

## Dobre wieści

*Lato 1397*

Brzęknęła cięciwa, strzała wyleciała ze świstem i pomknęła ku celowi, którym była słomiana kukła, ubrana w kolorowe szmaty mające udawać turecki strój.

- Trafiony!

Dworzanie, stojący półkolem za zawodnikami, zaklaskali z uznaniem.

- Niezwykle celnie!

- Dokładnie w pierś!

- Innym się uczyć od was, najjaśniejsza pani! Królowa Jadwiga opuściła łuk i z uśmiechem wysłuchiwała pochwał.

- Nauczyłam się od Hedwigi - powiedziała. - To jej klaskajcie.

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku pani z Lipowej, a ta zarumieniła się zawstydzona.

- Jesteście dla mnie zbyt łaskawa, najjaśniejsza pani.

- Ależ tak! - królowa roześmiała się głośno. - Podziwiajcie skromność mojej przyjaciółki.

Zawodników było sześciu. Królowa strzeliła tylko dla zabawy, na rozpoczęcie turnieju, walka toczyła się pomiędzy jej dworzanami, mierzącymi do celu oddalonego o pięćdziesiąt kroków. Nagrodą była czerwona jedwabna wstążka z wyhaftowanym monogramem monarchini.

Dworki w liczbie kilkunastu oklaskiwały zawodników po każdym strzale, choć bywało, że pociski leciały zupełnie w bok albo w ogóle nie dosięgały celu.

- To przez słońce - usprawiedliwiali się niektórzy. - Świeci prosto w oczy.

Chcieli przestawienia celu, ale inni, którym się wiodło lepiej, nie zgodzili się na zmiany.

- Na polu bitwy także trzeba czasem stanąć pod słońce - zauważył pan Zawisza, zwany Czerwonym. Najlepszym strzelcem okazał się pan Sędziwoj z Ludomska, który wszystkie pięć strzał umieścił w słomianym Turku. Potem przyklęknął na kolano, kiedy pani Jadwiga wręczyła mu czerwoną wstążkę.

Wśród zebranych tu dworzan od początku był typowany na zwycięzcę. Gibki, piękny, wyćwiczony w rzemiośle wojennym, uczestniczył w turniejach i rycerskich zabawach w różnych krajach, skąd przywiózł liczne wieńce i trofea. Sam stanowił przedmiot westchnień

wielu dam na dworze, bo był nieżonaty. Podobnie jak inni przepadał też za różnymi dworskimi grami, nikt więc się nie zdziwił, że podjął taką i teraz.

Odebrawszy nagrodę, pan Sędziwoj ucałował wstążkę z uszanowaniem, ale jako zwycięzca miał prawo ofiarować ją wybranej damie. I wybrał Hedwigę z Lipowej.

- Zechcicie przyjąć tę nagrodę - poprosił, przyklękając. - Miłościwa pani nie chciała strzelać więcej, a gdyby chciała, na pewno zostałbym pokonany. Skoro zaś miłościwa pani nauczyła się od was, wy zwyciężyliście w tej zabawie. Hedwiga zarumieniła się i niepewnie spojrzała na królową. Pani Jadwiga z uśmiechem kiwnęła głową przyzwalająco. Uważała, że smutek Hedwigi należy rozproszyc różnymi sposobami i to dla jej rozrywki zorganizowano tę zabawę.

Hedwiga przyjęła wstążkę i nieśmiało obracała ją w dłoniach. Miała na sobie szarą suknię i czarny welon na ramionach. Czerwona wstążka nie pasowała do jej stroju, więc nie wiedziała, co ma z nią zrobić.

- Zatrzymaj - powiedziała pani Jadwiga. - Naturalnie, że powinnaś zatrzymać ten znak od pana Sędziwoja.

- Ale przecież żałoba... - bąknęła Hedwiga niepewnie.

- Nie musisz zaraz nosić tej wstążki - zauważyła królowa. - A żałoba kiedyś przecież minie i wtedy na pewno będzie sposobność, żeby przypiąć wstążkę. Szczególnie, że jest z moim monogramem.

Hedwiga przyjęła więc podarunek i nie widziała spojrzeń dworzan. A spojrzenia te mówiły:

- Obnosi się z żałobą, jakby była jedyną wdową na świecie. Jakby ona tylko jedna straciła męża, a jej dzieci ojca. Dworzanie klaskali dwornym Zachowaniom pana Sędziwoja i wymieniali między sobą spojrzenia, które znaczyły: gra się już rozpoczęła. Sędziwoj, znany z licznych podbojów miłosnych, najwyraźniej zamierzał teraz zbałamucić panią Hedwigę.

Tylko Zawisza Czerwony, który zajął w zawodach strzeleckich drugie miejsce, był nieco rozdrażniony i uważał, że pan Sędziwoj chce upokorzyć Hedwigę. Uważał ponadto, że jest lepszy od pana Sędziwoja, bo tylko zerwanie cięciwy przy ostatniej kolejce strzałów spowodowało, że uległ rycerzowi z Ludomska.

- Sam nie odważyłbym się zmierzyć z panią Hedwigą - powiedział, kierując słowa pod adresem Sędziwoja. Królowa natychmiast podchwyciła okazję.

- Hedwiga jest prawdziwą mistrzynią - potwierdziła. - Czy wiecie, że mogłaby stanąć nawet przeciw mężczyznom? To zasługa jej męża, Mikołaja. Ale pewnie nie wiecie, że jej ojciec, pan Janosz z Orkeny, został upolowany z łuku przez swoją małżonkę?

- Upolowany? - zaintrygowały się dworki. - Co to znaczy upolowany?

- Że pewna dama, która miała na niego oko, w ten sposób przywiodła pana Janosza do ołtarza. Dwór zbierał się do powrotu na zamek, wśród wesołych i zabawnych opowieści.

- Oczywiście, że wszystko opowiem - obiecywała królowa. - Opowiem tę piękną miłosną historię wieczorem. O ile, rzecz jasna, Hedwiga nie będzie miała nic przeciw temu.

- Naturalnie, że nie - uśmiechnęła się zagadnięta.

I po raz kolejny poczuła, jaka jest samotna, choć otoczona tyloma ludźmi. Nikt prawie nie rozumiał jej bólu, oczekiwania ani tej szarpiącej niepewności. Z obecnych nikt nie oczekiwał na powrót ukochanego, o którym nie było wiadomo, czy w ogóle żyje. Uczestniczyła w grach i w zabawach, wyjeżdżała na polowania, oglądała turnieje. Ale myślała tylko o jednym. I tylko o jedno prosiła Boga w wieczornych modlitwach.

- Pozwól mu powrócić, Boże - szeptała. - Pozwól powrócić Mikołajowi.

Nadzieje na powrót Mikołaja były nadziejami na cud. Ale kto zaprzeczy, że cuda się zdarzają? Trzeba się tylko modlić i trzeba wierzyć, mocno wierzyć. Mikołaja nie było na żadnej liście jeńców, ale przecież to nie przesądzało jeszcze o niczym. W najgorszym wypadku Hedwiga spodziewała się dowiedzieć, gdzie i jak Zginął jej mąż. W najgorszym wypadku oczekiwała potwierdzenia tych wieści.

- Jeżeli to tylko możliwe, pozwól, miłosierny Boże, na powrót pana Mikołaja - modliła się królowa, kiedy obie z Hedwigą klęczały wieczorem w wawelskiej sypialni.

Poza Hedwigą chyba już tylko monarchini pamiętała o zeszłorocznej wyprawie. Dwór zajmował się swoimi sprawami i niewiele pozostało z zimowego smutku i trwogi, jaka tu zapanowała po nadejściu pierwszych wieści o klęsce pod Nicopolis. Teraz było lato, świeciło słońce, po polach i łąkach radośnie śpiewały ptaki, w zamkowych komnatach brzmiała muzyka, urządzano tańce i pląsy. Gdy czasem pojawiał się ktoś, kto uczestniczył w krucjacie, już go nie słuchano tak uważnie i pilnie. Już spowszedniały opowieści o bohaterstwie, walce i poświęceniu. Dwór zajmował się tymi relacjami mniej niż zapowiedziami nowych zaślubin, turniejów i zabaw. Życie musiało toczyć się dalej.

Niewieścia stałość Hedwigi, z niezmaconą pewnością wyglądającej powrotu swojego Mikołaja, wzbudzała w wielu podziw i uznanie, ale u innych wywoływała tylko uśmieški politowania. Powszechnie uważano, że im więcej upływa czasu, tym mniej pozostaje nadziei na powrót Mikołaja. I tym bardziej Hedwiga była narażona na kąśliwe uwagi, a potem drwiny.

- Niewiasty nie są aż tak wierne - dowodzili mężczyźni. - Natura ich nie wytrzymuje długiej próby.



- Powinna się na coś zdecydować - mówiły niewiasty. - Gdyby od razu założyła żałobę, kiedy nadeszły pierwsze wieści, dziś byłoby już pół roku, a za pół mogłaby myśleć o powtórny wyjściu za mąż.

Przyszłość Hedwigi omawiano z wielkim zajęciem i na jakiś czas stało się to jednym z głównych tematów plotek na dworze.

- Ho! ho! - mówili ci, którzy wraz z królewską parą bywali w Lipowej. - Jest się o co starać. Majątek wielki i zadbany, a pani Hedwiga piękna.

- I ma dwóch udanych chłopaczków - dodawali inni.

Dla jednych stanowiło to przeszkodę, bo przecież chłopcy dorosną i trzeba będzie majątek podzielić, dla innych zachętę.

- Podchowani już synkowie, rychło korzyść z nich będzie. Hedwiga, gdy wreszcie dotarły do niej te gadki, obruszyła się na samo wspomnienie takiej możliwości.

- Nadal jestem zamężna - powiedziała mocno oburzona.

Było to w komnacie królowej, w obecności jej osobistego doradcy i spowiednika, ojca Henryka Bitterfelda z Brzegu. Ten okazał zadowolenie z postawy dworki.

- Słusznie się oburzacie - pochwalił. - Bo jeśli nie nadejdą żadne wieści? Jeśli nie nadejdą ani w tym roku, ani w następnym, ani nigdy? Zostaniecie wdową czy zamężną? Wedle kościelnego prawa...

- Wszystko jedno, ile trzeba będzie czekać - odpowiedziała Hedwiga. - Zawsze będę czekała na mojego męża. Wracali hałaśliwą gromadą ku zamkowi, gdy wybiegł im naprzeciw goniec, prosząc o pilne posłuchanie. Pani Jadwiga zatrzymała się, schylając głowę ku pochylonemu w kornej postawie żołnierzowi, a jej twarz roześmiała się już po pierwszych jego słowach.

- Wracają! - zawołała ku trzymającym się w pewnej odległości dworzanom. - Sułtan turecki zwolnił jeńców i lada chwila wracają do domu!

Hedwiga zamarła z rękami zaciśniętymi na kołnierzu sukni.

- Słyszysz, Hedwigo? - śmiała się królowa, idąc w jej kierunku. - Wracają. Wracają!

Pani z Lipowej nie mogła wypowiedzieć słowa. Wiadomość, choć tak wyczekiwana i tak upragniona, była przecież niespodziewana, krew uderzyła jej do głowy, powodując szum w uszach.

- Wracają! - cieszyła się królowa. - Jak dobrze, że cię zatrzymałam na dworze. Gdybyś pojechała do Lipowej, nie dowiedziałabyś się tak szybko tej dobrej nowiny.

Ucisk w gardle Hedwigi ustąpił i poczuła się nagle bardzo zmęczona.

- Wiedziałam - powiedziała tylko. - Wiedziałam, że Mikołaj wróci.

Królowa nakazała powrót z Niepołomic na Wawel, ale nikt nie sarknął na zmianę planów, choć przyjechali tu dopiero wczoraj.

Po powrocie okazało się jednak, że niewiele więcej wiadomo. Ludzie, którzy przyjechali z Węgier i czekali na panią Jadwigę, zostali od razu przyjęci. Wieści, jakie przywieźli, były radosne, ale i daleko niepełne. Przyjechało ich dwóch, wymizerowanych, przygaszonych i smutnych. Opowiadali o bitwie, opowiadali o niewoli. O ciężkim marszu do Bursy, o łańcuchach, jakie musieli tam nosić na nogach, o niepewności losu, głodzie i poniewierek Potwierdzili śmierć wielu spośród tych, o których było wiadomo, że uczestniczyli w bitwie.

Przywieźli adresowany do pani Jadwigi list króla węgierskiego. Zygmunt Luksemburski, odpowiadając na prośbę królowej polskiej, pisał, że wieści co do losów Mikołaja z Lipowej nie są pewne. Wielu pamiętało go z pola tuż przed bitwą. Podobno widziano go później, walczącego w małym oddziale z przewagą nieprzyjaciół, ale nikt nie wiedział, jak się zakończyło to zmaganie. Jedni powiadali, jakoby nikt nie ocalał, a polegli wszyscy jak jeden mąż. Inni, że udało się im umknąć na czas. Król podawał przy tym przykład pana Świątosława Łady, który uchronił się Bożą opieką przed strzałami Turków i bezpiecznie przepłynął Dunaj.

Hedwiga zaciskała usta, miała łzy w oczach, ale nie chciała uwierzyć w najgorsze.

Temat wyprawy krzyżowej ponownie wrócił i jakiś czas był żywo roztrząsany na dworze. Choć nadal nie wiadomo, jak wielu rycerzy ocalało, każdy spodziewał się, że powróci właśnie ten jeden, wyczekiwany, wytęskniony. Listy jeńców uznawano powszechnie za niepełne i tylko dziwowano się ogromowi okupu, jaki sułtan zażyczył sobie za zwolnienie pokonanych rycerzy chrześcijańskich. Dla wielu był to znak jego nieobycia i barbarzyństwa, bo choć sami brali jeńców w bitwach, których potem wypuszczano za okupem, panowie nie uważali, żeby i sułtan miał do tego prawo.

Niewierny nie mógł przecież zachowywać się jak prawowierni rycerze.

Wiadomości o rychłym powrocie jeńców długo grzały serca nadzieją. Zapanował śmiech i radość, w kościołach odprawiano dziękczynne modły i nabożeństwa. Po smutku zimy i wiosny, egzekwiach, mszach żałobnych, płaczu i żalu, wybuchło nagle wesele i radość.

Wyprawa krzyżowa, choć powszechnie uważano ją za raczej nieudaną, spełniła przecież swoje zadanie. Panowie chrześcijańscy zadali tak wielkie straty Saracenom, że ci nie ośmielili się swoimi zbrojnymi zastępami pójść dalej i tylko oczekiwano, aż cofną się, a potem zupełnie odstąpią. Wydawało się bowiem, że dzięki wielkiej daninie chrześcijańskiej szlacheckiej krwi całkowicie i raz na zawsze została złamana turecka potęga.

Okazało się, że czekanie na bliski już powrót jeńców jest teraz dla Hedwigi cięższe nawet niż przed kilkoma tygodniami.

- Coraz trudniej mi znieść to oczekiwanie, najjaśniejsza pani - poskarżyła się królowej.  
- Czy zezwolicie wrócić do Lipowej? Tam będę wypatrywać mojego męża. Albo wieści o nim.

- Dobrze - zgodziła się natychmiast pani Jadwiga. - Będzie mi ciebie brak, ale oczywiście wracaj, jeśli tak postanowiłaś. A ja ci obiecuję, że nie spocznię w poszukiwaniach i natychmiast zawiadomię o najmniejszych nawet wieściach, jeśli takie dotrą na Wawel.

Chrześcijańscy jeńcy stali już gotowi do odejścia, gdy w małej grupie jeźdźców nadjechał sułtan Bajazyt. Zatrzymał się przed nimi, obrzucił kolejno uważnym spojrzeniem.

Panowie prosili o to posłuchanie, opierał się, ale w końcu zgodził się wysłuchać. Prosił o to w ich imieniu Misani al-Rifad, którego hrabiowie francuscy musieli długo przekonywać.

- Czegóż oni chcą? - pytał sułtan niezadowolony.

- Pokłonić się tobie, władco świata, przed odejściem.

Wreszcie sułtan dał się nakłonić na spotkanie i przyjechał, kiedy stali gotowi już do drogi. Przygotowali się do niej, kazali przystrzyc i ułożyć włosy, oczyścić ubrania. Choć jednak bardzo się starali, nie mogli wyglądać jak dawniej. Drogocenne tkaniny, w jakich wyruszyli na wyprawę, dawno im odebrano i rozdano żołnierzom sułtana. Ubrani więc byli na poły po swojemu, a na poły po turecku i cierpieli z tego powodu. Przed wyjściem z wieży domagali się lepszych ubrań i Misani al-Rifad wydał na to zgodę. Przyniesiono stos ubrań i mogli wybierać dowolnie. Tylko broni nie otrzymali na powrót, choć na to naciskali najbardziej.

- Jakże mamy chodzić bez broni? - zapytał hrabia d'Eu. - Nie godzi się to ludziom naszego stanu. Misani al-Rifad zmarszczył brwi.

- Tutaj nie jesteście hrabiami - uciał sucho. - Tutaj jesteście więźniami, a więźniowie nie mogą nosić broni.

- Bez broni u boku okażemy brak szacunku dla sułtana - prosili.

Ale Misani nie odstąpił od swojego rozkazu, choć wielokrotnie jeszcze zwracali się do niego z podobnymi żądaniem.

Stali więc teraz w tureckich szatach, bez broni i czekali na przybycie sułtana. A kiedy nadjechał, pokłonili się przed nim. Ale pokłonili się, ledwo schylając głowy, niczym równi mu władcy. Hrabia d'Eu wystąpił krok do przodu.

- Będziesz tłumaczyć - polecił Misaniemu. Lekarz zgodził się bez sprzeciwu. Hrabia

d'Eu ponownie skłonił się lekko przed sułtanem.

- Pomiędzy ludźmi szlacheckiego pochodzenia powinny panować szlacheckie zwyczaje - zaczął. - Jest w moim kraju zwyczaj, że zwyciężony składa swojemu zwycięzcy przysięgę na okoliczność swojej przegranej. W takim wypadku jest to przysięga, że w danej kampanii nie będzie zbrojnie występował przeciw temu, który odniósł nad nim zwycięstwo. Chcąc zatem dać temu pięknemu zwyczajowi zadość uradziliśmy pomiędzy najdostojniejszymi...

Misani tłumaczył na bieżąco, zdanie po zdaniu, a sułtan słuchał uważnie, choć ze wzrastającą irytacją. Al-Rifad nie skończył przekładu, hrabia d'Eu nie skończył swojej przemowy.

Bajazyt przerwał szorstko.

- Dość! - syknął z niezadowolenia. - Przekaż im, synu mojej siostry, że nie jestem ciekaw, co mają jeszcze do powiedzenia. Misani przetłumaczył, wywołując wśród zebranych poruszenie.

- Tylko się wam wydaje, że jesteście równi mnie i mojemu rodowi - kazał powtórzyć sułtan. - I nie doceniliście mojej łaskawości, której zawdzięczacie, że kazałem was traktować lepiej niż zwykłych jeńców. Gdyby nie moja łaska, stalibyście tutaj nadzy i bosi, bo za nic mam wasze dostojństwo.

Odważyli się wyrazić szemranie swoje zdumienie, a wtedy żołnierze sułtana otoczyli ich ciasnym kręgiem, gotowi ukarać zuchwalstwo.

- Powiedz im - polecił sułtan. - Powiedz, że nie chcę żadnej przysięgi. Powiedz, że nie chcę od nich obietnic. Nie wierzę w ich słowa, bo nie wierzę w ich honor. Obiecali dopełnić warunków rozejmu pod Oriachowem, a złamali słowo dla własnej wygody. Tedy nie zasługują na moje zaufanie. I nie zasługują na to, żebym ich wysłuchiwał. Poczzerwienieli, słysząc takie słowa, które były dla nich zniewagą i poniżeniem. Wpatrzeni w podróż przed nimi, na końcu której były ich ziemie i zamki, zapomnieli już prawie o czasie uwięzienia i wydawało się im, że znowu są wolnymi ludźmi.

- Powiedz im, żeby lepiej milczeli - mówił dalej sułtan pochmurnie. - Dość tych głupich chrześcijańskich obietnic. Niech niczego nie obiecują, bo lekce sobie ważą ich przysięgi i obietnice. I powiedz, że jeśli starczy im odwagi, niech przyjdą znowu na moje ziemie ze swoimi wojskami. Powiedz, żeby zgromadzili tylu ludzi, ile zechcą, żeby przyszli, jeśli znowu chcą zostać pokonani. Ja tu będę zawsze i zawsze stanę przeciw nim, a dzięki pomocy Allaha pokonam ich w każdym miejscu i czasie.

I zanim Misani skończył tłumaczenie, sułtan wzgardziwszy ich uwagą, odjechał. A oni stali sponiewierani i oburzeni.

- To nie jest rycerskie zachowanie - powiedział ktoś. - Czegoś więcej spodziewaliśmy się po tak wielkim władcy. Byli rozdrażnieni, bo z rozkazu sułtana nie mogli odjechać już tego dnia. Nie odjechali, bo musieli zostać i oglądać wyjazd Bajazyta na polowanie. A wyruszył na łowy wielki orszak myśliwych i sług. Samych sokolników było sześć tysięcy. I sześć tysięcy łowczych psów, z obrożami zdobionymi drogocennymi kamieniami.

Dostojni jeńcy zaciskali wargi, patrząc na ten pokaz i gorzko łykając poniżenie.

- Chce nas upokorzyć - mówili. - Rozmyślnie nas zatrzymał, byśmy zobaczyli to bogactwo.

- Psy ubrali z naszych kosztowności! To na to przeznaczył okup! Mogli wyruszyć dopiero następnego dnia.

Wtedy też mogli opuścić miejsce uwięzienia pozostali jeńcy. Tym nie dano koni. Uformowano ich tylko w kolumnę i pod strażą uzbrojonych ludzi sułtana odprowadzono do miejsca, skąd mogli skierować się ku swoim ziemiom.

I oni byli ubrani w tureckie stroje, a chyba tylko po włosach, po wąsach i po niebieskich oczach poznać można było, że nie są tutejsi.

Ludzie stojący po obu stronach drogi, jaką szli, zatrzymywali się, rzucając ku chrześcijanom nieprzyjazne okrzyki.

Nie chcieli ich karmić po drodze, odmawiali nawet wody i dawni jeńcy ciężką pracą w posiadłościach, w wiejskich obejściach, a potem w portach musieli zarabiać na jedło i napitek. Dla większości droga do domu trwać miała całe miesiące, a bywało, że i lata.